

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 179.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2;
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 28 lutego 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Uldynski (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt) dalszy ciąg. — Szczałki zamku w Płocku (z dwoma drzeworytami). — Wycieczka nad brzegi Berezyny. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Zamek w Sanoku (z drzeworytu). — Przegląd piśmienniczy. — Szachy. — Rebus. — Prawa kobiet do nauki. — Z Suwałk do Augustowa (dalszy ciąg). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korrespondencya od redakcyi.

Józef Uldynski.

Znane są czytelnikom Tygodnika Ilustrowanego główne zarysy życia i spraw publicznych nieśmiertelnego Tadeusza Czackiego. W ciągu ostatnich lat czterdziestu, wielokrotnie zjawiały się to krótkie biografie, to wspomnienia o życiu i pracach Czackiego; te jednak, lubo wierne w szczegółach, nie dają jeszcze dostatecznego pojęcia o olbrzymiej pojedynczego człowieka pracy, w najtrudniejszych czasach i okolicznościach przedsięwziętej. Ktoby choć w części miał sposobność przejrzeć archiwa familijne w Sielcu, zachowane z religijną czcią przez niedawno zgasłego s. p. Feliksa Czackiego; archiwa przy dzisiejszym kijowskim uniwersytecie; rzeczy zachowane w bibliotece tegoż uniwersytetu, w archiwach komisaryi edukacyjnej i ministerium oświecenia w Petersburgu, — ujrzałby dopiero męża stanu, pedagoga, mającego zdrowe i wysokie pojęcie o znaczeniu wychowania publicznego. Otoczony powszechnym poważaniem, stanął między swoimi, przemówił w kraju do ojców jako współobywatel i brat, zyskał nieograniczoną ufność i został opiekunem młodszych pokoleń. Spokojnie i z radością poglądali rodzice na synów, wiedząc że ów przybrany ojciec godnie piastuje powierzone sobie dostojenstwo; w młodych zaś odrazu wzrosło przekonanie, że Czacki w sprawie ich ukształcenia, a tém samém przyszłego losu, nieomylnym jest kierownikiem.

Z takimi moralnymi zasobami Czacki stworzył i uorganizował znakomitą szkołę krzemieniecką i kilka innych, które równie wielkie stosunkowo oddały krajowi usługi w wychowaniu publicznem. Po nadzwyczajnych wysileniach, zgasł zawześnie i osierocił kraj, osierocił wielką swą rodzinę, chroniącą się w murach szkolnych po szerokim kraju rozsianych. Wszakże nagle i niespodzianie nieszczęście nie obaliło instytucyi; Opatrzność dozwoliła że duch Czackiego nie odstąpił ani mężów-przewodników, którzy po nim pozostali, ani też młodzieży, która w następstwie lat po sobie idących dotrwała wiernie we wszystkiem. Rok rocznie

bowiem, 30 czerwca, na wzniesionym w świątyniach szkolnych grobowcu, a mianowicie w Krzemieńcu, otoczywszy go wraz z professorami i ojcami, młodzież po wysłuchaniu rzewnych słów kaznodziei, ponawiała ślub wiary w przekazane przez Czackiego zasady. Kto chociaż raz był świadkiem takiego obrzędu, wytłumaczy sobie wiele.

Owóż przedstawiliśmy pobieżny obraz instytucyi Czackiego, aby wykazać że wszyscy niemal mężowie którzy w liceum wołyńskim w Krzemieńcu stawali

sorami lub opiekunami, jak: Kollataj, Leleweł, książę Adam Czartoryski, Józef Czech, Alojzy Feliński, ks. Osinski i wielu innych.

Zanim skreślimy obraz profesora Uldynskiego, musimy jeszcze powiedzieć słów kilka o wewnętrznem i zewnętrznem życiu samej szkoły, bo tym tylko sposobem uwydatnią się pojedyncze rysy obrazu. Szkoła krzemieniecka była szkołą główną w trzech prowincjach: wołyńskiej, podolskiej i ukraińskiej; wszystkie inne albo wprost od niej zależały, albo jako wyższe gimnazya, tu w niektórych przedmiotach znajdowały dopelnienie. Zakładami wyższymi były dwie szkoły: gimnazyum podolskie w Winnicy i gimnazyum pijarskie w Międzyrzeczu na Wołyniu. Liceum krzemienieckie składało się z czterech klass przygotowawczych i trzech kursów dwuletnich. Kursa, chociaż dzieliły się na pierwszy, drugi i trzeci, wszakże wysłuchanie wszystkich dopiero stanowiło całość nauk. Głównymi przedmiotami dwuletniemi kursu pierwszego były: algebra w całej rozciągłości, geometrya i trygonometrya, oraz historia powszechna. Obok tego szły nauka religii, język polski i historia wymowy. Drugiego: fizyka (kurs dwuletni), ekonomia polityczna i prawo. Trzeciego: nauki przyrodzone w całym ich rozwoju. Na kursie drugim wykładano także matematykę wyższą, kurs dwuletni, a w nim geometryę analityczną, rachunek różniczkowy i integralny; na kursie trzecim mechanikę, geometryę wykresną i architekturę; na wszystkich zaś kursach literaturę polską. Literatura łacińska i starożytności, podobnież na wszystkich kursach były obowiązujące. Język i literatura grecka nie obowiązywały. Nauka prawa trwała lat trzy. Języki nowożytne i ich literatury zajmowały wszystkie lata. Słuchacz każdego kursu miał prawo, oprócz kursów głównych, bacząc na czas i własne usposobienie, przykładać się i do ubocznych przedmiotów, aby je w tym lub drugim roku wysłuchać. Tak uczeń kursu 1go mógł w drugim roku zacząć kurs matematyki wyższej i prawa, lub jakich innych przedmiotów, i tym sposobem idąc, kurs trzeci mógł być jednorocznym. Dwie szkoły specjalne były przyłączone i do zarządu i do kursów: szkoła mechaników i szkoła geometrów. Wstępujący do uniwersytetu wileńskiego, po zupełnem ukończeniu nauk socyalnych, na wydziału prawnym i matematyczno-filozoficznym, kończyli i otrzymywali stopnie w ciągu lat dwóch; na medycznym w ciągu lat trzech.



JÓZEF ULDYŃSKI. (Rysował na drzewie Kanievski).

Dziś jeszcze po wielu bibliotekach i domach można znaleźć wydawane wtedy programmata licealne i przekonać się, że były zgodne z ówczesnym rozwojem nauk społecznych, matematycznych i naturalnych.

Życie wewnętrzne tej szkoły nosiło w charakterze swym formę, że tak się wyrażę, starożytną. Każdy tu wstępujący był *civis* w całym znaczeniu tego wyrazu, a raz przyjąwszy taki charakter, nigdy się już z niego nie wyzuwał w przyszłości. W salach licealnych zgromadzali się synowie najznakomitszych rodzin polskich, Żydzi w swych narodowych strojach, mieszczanie w wielkiej liczbie, wieśniacy, drobna szlachta i dzieci wszelkich narodowości, nakończ księża i alumni rozmaitych zakonów. Przystęp był tu wolny dla każdego, — jeden stanowił wszystkich i wszyscy jednego. Taki obyczaj i cnota nie gasyły nawet przy wyjściu ze szkoły. Każdy unosił z sobą ugruntowane o potrzebie ich przekonanie, tak dalece że i dziś jeszcze, po latach tyłu, dość jest spotkać kolegę Krzemieńczanina, a jakiegokolwiek go warunki ziemskiego bytu otaczają, w imię onego koleżeństwa widzi się w nim brata i krewnego. Była to bowiem jedna wielka rodzina, wzrosła pod opieką własnych ojców i braci starszych, szkoła w której taicy ludzie jak: Czacki, Czech, Feliński, Ściborski, Jarkowski, a później Lewicki, byli dyrektorami czyli rządcami. Zakład ten niedługo trwał lata; mimo to wszakże, oprócz ogólnej posługi w oświacie krajowej, wydał niejedną postać jaśniejącą cnotą, pracą i nauką.

Z liczby takich postaci był zmarły niedawno Józef Uldyński, rodem Litwin, lecz odrazu po przeniesieniu się do Krzemieńca czysty Krzemieńczanin. Przybył tu w r. 1818 na profesora historii powszechniej ze szkoły podolskiej w Winnicy, gdzie go uniwersytet wileński umieścił jako nauczyciela historii i prawa.

Podajemy tu życiorys tego profesora ze źródeł dawniej przez niego nam udzielonych, jakimi są: *curriculum vitae* własną ręką jego spisane, świadectwo urzędowe o stanie służby i programmata szkół w których przedmioty prawa i historii wykładał.

Józef Uldyński urodził się d. 20 października 1792 r. w Kiejdanach w powiecie rosieńskim na Żmudzi. Po ukończeniu nauk w szkole powiatowej kiejdańskiej, przeszedł r. 1810 do uniwersytetu wileńskiego, gdzie w oddziale nauk fizyczno-matematycznych otrzymał stopień kandydata filozofii dnia 5 czerwca 1812 roku, a w oddziale nauk moralnych i politycznych stopień magistra, 30 czerwca 1814 roku. Uniwersytet wileński wezwał go wtedy na nauczyciela historii i prawa do gimnazjum podolskiego w Winnicy, gdzie przez ciąg pobytu swojego nad powinność wykładał w łacińskim języku prawo rzymskie, a oprócz tego sześć jeszcze innych przedmiotów: prawo polityczne, (bardzo obszernie), prawo narodów, historią powszechną na trzech kursach, zasady ekonomii politycznej, naukę moralną i literaturę niemiecką. Zdumiewać się przychodzi jak w owe czasy jeden człowiek mógł tylu podobać pracom; wątpliwość jednak nie ulega że tak było, gdyż program szczegółowy najwymowniej o tém świadczy. Ówczesni ludzie nie cofali się przed ogromem zajęć i wysiłków: wystarczali sami za wielu, dla pożytku kraju i młodych pokoleń. Uldyński był jednym z takich. Wszystkie przedmioty które wykładał, traktował szeroko, a stanowiska nauki nie zniżał, lecz szedł z jej postępowaniem i wiele dla niej czynił.

W r. 1818 Uldyński przeznaczony został na profesora historii powszechniej do liceum wołyńskiego w Krzemieńcu, w którym zostawał do r. 1832, to jest do chwili przeniesienia tego zakładu do Kijowa. Wydał tam w r. 1819 Geografią starożytną, stosowaną do dzisiejszej, z krótką wiadomością o chronologii. Recenzja tego dzieła przez Joachima Lelewela w Dzienniku Wileńskim 1820 r. drukowana, była pochlebna, a rząd uniwersytecki pismem z dnia 19 kwietnia 1822 r. uwiadomił, że komitet szkolny uznał je za pożyteczne dla zakładów szkolnych, a mianowicie dla nauczycieli historii i geografii.

W liceum, oprócz godzin prawem oznaczonych, nad powinność i bezpłatnie poświęcał jeszcze dwie godziny w tygodniu na osobny wykład historii polskiej, a potem i powszechniej, za co rząd uniwersytecki uczcił go dwukrotnym pismem dziękczynnym. Używanym był także do spełniania rozmaitych ubocznych poleceń władzy, a mianowicie do sprawy granicznej między dobrami licealnymi a sąsiednimi.

Świadectwo wydane Uldyńskiemu d. 11 lipca 1832 r. brzmi jak następuje:

„Józef Uldyński w ciągu swej służby dał dowody niezmierniej pracy i poświęcenia się w wykładzie nauk tak obszernych i tak wielkiego znaczenia, a gorliwością swoją obudzał w słuchaczach zapał ku naukom jakie wykładał za najwyższym talentem i jasnością. W gorliwości swojej nie ograniczał się liczbą

godzin prawem przepisanych lecz dodał sobie po dwie godziny na tydzień.“

Takim to sposobem Uldyński pełnił swe obowiązki po dzień 7 lipca 1832 r. Resztę już życia swego przepędził w zaciszu domowym, gromadząc zbiory naukowe wszelkiego rodzaju, a między innymi bogaty gabinet numizmatyczny monet i medali rzymskich i polskich.

Powiedzieliśmy wyżej że professor Uldyński był jednym z tych ludzi wyjątkowych, sympatycznych, którzy silnie wpływają na usposobienie młodzieży. Postaci wyniosłej, wyraz oblicza miał poważny, a ruchy żywe; lecz jemu tylko właściwe i oryginalne, w niczem nie nadwierały, ale owszem zwiększały tę powagę, jaką zachowywał na katedrze i w życiu codziennym. Pełen nauki i światła, dowcipnym był w słowie gdy o to chodziło.

Wykład jego historii powszechniej był obszerny, w nadzwyczaj śmiałych, pewnych i jasnych zarysach i poglądach przedstawiony. W historii starożytnej trzymał się układu Heerena. Przechodząc przez pierwsze wieki starożytności, wyłożywszy historią ludów afrykańskich i azjatyckich, rozwinął historią Egiptu, wskazawszy na wielką wagę działalności fenickiej, wyobraziwszy na scenę świata duchową ideę ludu hebrajskiego, popatrzywszy okiem przenikliwym na dzieje nagłe urosłych Persów, — wstępował w świat grecki, jako w świątynię ducha, praw, socjalnych idei, filozofii i sztuki. Prelekcje jego o zasadzie i podstawach na jakich się oparła narodowość ludów greckich, o wielkiej idei kolonizacji, o związku amfiktyońskim, wojnach perskich, czasach peryklesowych, wojnie połoponezkiej; polityka przewodniczących rzeczypospolitych, śmierć Sokratesa, wyniki filozofii i szkół greckich, sztuka i piękność starożytności Greców, — wyłożone były z całym blaskiem wiedzy, krytyki i prześlicznych poglądów; podnosił się bawiem professor do tych wyżyn, na które nauka historyka — obywatela dźwignąć może. Rzym był dla niego niewyczerpanym polem badań politycznych i socjalnych. Pamiętne nam są lekcje, w których objaśniał ideę chyrego protektatu rzymskiego nad drobnymi krajami azjatyckimi i afrykańskimi. Wieki średnie traktował obszernie, ceniąc wielce Roteka i trzymając się tego autora, którego też później przetłumaczył na język polski. Praca ta dotychczas spoczywa w rękopiśmie. Feudalizm jako ideę wywodził po swojemu, przy najśmielszych i wielce prawdziwych roztrząsaniach krytycznych. Czasy nowożytne, równie jak wszystko, przechodził pragmatycznie, nie zapominając nigdzie o poglądach na prawa i instytucje, rozwój nauk i sztuk. Odkrycie Ameryki, reformacja Lutra, panowanie Henryka VII i VIII, należały do święniejszych punktów jego wykładu. Zawsze jednak świat starożytny najwięcej go nęcił swymi cudami życia politycznego i fantazją sztuki. Zdawało się nieraz słuchaczom, że professor sam walczył na polach Maratonu i przy Salamynie, lub że własnymi oczami patrzył na Epaminondasę wyjmującego strzałę. Wojny punickie i skutki takowych, rozwinięcie się polityki rzymskiej zaborczej, ostatnie chwile rzeczypospolitej, Juliusz Cezar i Pompejusz, — jednym słowem cały świat starożytny zjawiał się na katedrze historii w Krzemieńcu, żywy, jasny, upiękniiony słowem profesora.

Wspomniemy tu jeszcze o ważnym studium Uldyńskiego: *O znaczeniu igrzysk olimpijskich w Grecji*. Studium to wchodziło w skład prelekcji, lecz rozszerzone i opracowane, osobno czytane było w r. 1829 na publicznym posiedzeniu, w dniu zamknięcia kursów i roku szkolnego. Tu rozwinął z całą siłą słowa przedmiot pełen historycznego znaczenia i dowiódł, że ludy greckie zjednoczone w Olympii wszystkiemi co piękne a wzniosłe, rozbudzone pieśniami Homera i Pindara, szerzyć tylko mogły politykę uszlachetnioną, na zasadach stanowiących dźwignię wszelkiej cywilizacji i potęgi.

W historii polskiej trzymał się książki Teodora Wagi, lecz i tu, jak wszędzie, umiał być jasnym i świeżym. Czasy piastowskie i jagiellońskie opowiadał professor z taką znajomością i krytyką, jakiej dziś się nawet badacze mogliby mu pozazdrościć.

Aby dać pojęcie o wpływie i miłości jaką Uldyński zjednał sobie u młodzieży, przytoczę tu kilka zdarzeń z jego zawodu professorskiego. Kiedy pewnego razu urzędnik wyższy przybył na lekcję Uldyńskiego i zażądał listy słuchaczów celujących w nauce historii, professor oddał mu cały spis słuchaczy, w którym było osób sto ośmdziesiąt, i powiedział że wszyscy tu są jednakowi i wszyscy celujący, bo pracują. Uczniowie uczyli go wtedy głośnie i długimi oklaskami, a jeden z pomiędzy nich krótką przemową publiczną mu podziękował. W jednej sprawie koleżeńkiej, gdzie dwie partie wystą-

piły przeciw sobie, co wypłynęło nawet z bardzo poprzedniego zdarzenia, nakłaniał wymownie i po swojemu do zgody, a skończył temi słowy: „Wszakże Ateny po ustąpieniu Pizystratydów nie na swym blasku nie straciły.“ Natychmiast nastąpiło pojednanie. Raz w czasie egzaminów spotkał się u wejścia do sali z jednym ze swych słuchaczy, dobrze sobie znajomym. Powitał go uprzejmie, a przeszedłszy długą salę i usadowiwszy się na katedrze, zagadnął o coś tego właśnie znajomego, z którym tylko co się widział. Odpowiedziano że nieobecny. Były wówczas na placu wojny punickie. Kiedy następnie Uldyński przeszedł do skutków w wojen tych wynikłych, zapytał powtórnie o tego samego słuchacza, oświadczając że wojny już skończone; lecz i tą razą „nieobecny“ było odpowiedzią. Wówczas schyliwszy się nad sekretnerem, powiedział sam do siebie „*fugam dedi!*“, a cały kurs wesółym parsknął śmiechem.

Tak lat dwanaście spędził Uldyński jako professor historii w szkole krzemienieckiej, szanowany od kolegów, kochany od uczniów, poważany od wszystkich. Trzydzieści lat przeszło upłynęło od zniesienia tej szkoły, a wspomnienia i postacie ówczesne żyją dotąd w pamięci nielicznych już jej uczniów. Te lat trzydzieści przeżył Uldyński w Krzemieńcu, między swymi górami, w gronie przyjaciół, we własnym małym domku; a choć i w tym peryodzie, który spokoju i spoczynku dawał mu rękomię, doświadczył chwil gorzkich, zachował jednak do końca dni swoich tę świeżość i energią, tę bystrość w rzutach i poglądach, jakie go w młodszy odznaczały wieku.

Wychowanie byłej szkoły krzemienieckiej i professor w tejże, a dziś dyrektor szkoły sztuk pięknych w Warszawie, p. Kaniewski, rysuje obecnie portrety zasłużonych Krzemieńczan. Jednym z tych jest założony tu wizerunek Uldyńskiego, który d. 1 stycznia r. b. zakończył życie.

Jeden z uczniów szkoły krzemienieckiej, rzeźbiarz Oskar Sosnowski, poświęcił swe dluto pamiętce Czackiego, którego piękny posąg stoi dziś w kościele pp. wizytek w Warszawie. Rzucamy tu myśl, iżby pozostał przy życiu Krzemieńczanie przyłożyli się do wzniesienia podobnych pomników i innym profesorom z Krzemieńca, którzy pracą i nauką dobrze zasłużyli się społeczeństwu. Byłby to hold należny od ogółu zacnej ich pamięci.

J. J. Wodziński.

Kronika tygodniowa.

— Tak jest! tak jest! zawołali wszyscy chórem.

— Naturalnie że tak, rękł jakiś pan łysy, któremu okulary żadnym sposobem na nosie trzymać się nie chciały i poprawiał je bezustannie, — kiedyś był jeszcze aplikantem, a nawet urzędnikiem o szczupłej pensji, skracalem sobie życie na gwałt.

— Jaki pan rozumie? wtręcała średnich lat dama, spoglądając z niespokojnością na szesnasto-letnią córeczkę, zajęta jakąś bardzo pilną robotą przy lampie w kącie salonu.

Były aplikant i urzędnik o szczupłej pensji uśmiechnął się.

— No, no, nie lękaj się pani, odrzekł. Nic w tém niema tak bardzo drożnego. Skracalem sobie życie, ot tak, zwyczajnie, jak to czynią ludzie niezadowoleni z obecnego położenia i szukający dla siebie koniecznie lepszych chwil w przyszłości. Ileż to czasu naprzykład przetrwało się na przerzucaniu kalendarza, szukając różnych świąt uroczystych i dni w których będzie można jakim sposobem uwolnić się od pracy. Inne dni, owe zwyczajności małemi czcionkami i czarną wydrukowaną farbą, jakby nie istniały dla mnie. Żyłem tylko w owych czerwonych literach oznaczających święta i niedziele; istniały one dla mnie jako oazy wśród codziennego życia i zwykłych powszednich zatrudnień. I powiadam państwu, że najlepiej ze wszystkich miesięcy w roku podobał mi się maj; nie dlatego, że w tym miesiącu rozwijają się drzewa i słońce przygrzewać zaczyna, nie dlatego, że w tych trzydziestu dniach poświęconych Maryi natura na dobre rozweselona, darzy nas najjaśniejszym uśmiechem swoim, nie dlatego że to najwdzięczniejsza pora, chroniąca nas od nadto silnych upałów i slot, które w naszym klimacie zbyt często przypadają, — ale dlatego, że w maju najwięcej jest świąt uroczystych. A przytém pragnąłem jeszcze jednym pociągnięciem pióra wykreślić z życia mojego wszystkie lata nadetatowej bezpłatnej służby, a przejsz cęmpredzję do owych chwil szczęsnych i błogosławionych, w których pierwsza płaca wyznaczoną mi będzie.

— Więc skoro pan otrzymałeś raz już tę pożądaną pensją, musiałeś być zupełnie zadowolony.

— Ale gdzie tam! Wzdychało się ciągle do podwyższenia, do awansu i t. p. Tyle a tyle, mówiliem sobie, ledwo mi wystarczy na utrzymanie. Ze zwiększającymi się zasobami, potrzeby i żądania moje mnożyły się także, a co gorsza, tak ja jak i moi koledzy skracaliśmy sobie życie pożądaniem tego dnia, w którym owa tak upragniona pensja dojsz nas miała. Życzyliśmy sobie żeby całe życie nasze z samych pierwszych miesiąca się składało, żeby inne dni nie istniały. A one i tak biegly za prędko, dodał z westchnieniem.

— Teraz przynajmniej pan radca szczęśliwszy jesteś, bo nie potrzebujesz czekać pierwszego, żeby mieć na każdy dzień odpowiednie potrzebom pieniądze, a przytém możesz kiedy sam zechcesz urządzić sobie dzień uroczysty i przerobić czarne litery pracy, na czerwone rekreacyjne.

— Tak, odpowiadał radca, poprawiając okularów ze skrzywioną miną, tak, teraz jest chleb, ale niema już zębów do żędenia go.

— Niestety! odezwał się otyły i bardzo rumiany na twarzy jegomość, człowiek szafuje życiem, nie pojmując skarbów jakie wyrzuca za okno, a potem żal przychodzi za późno. O gdyby to można wrócić do tych chwil młodości, co tak szybko przeminięły!

— Przesąd, mój panie, przesąd, odezwał się wosaty i brodaty artysta, milczący dotąd. Panu się zdaje żebyś chętnie przeżył napowrót owe tak zwane chwile szczęśliwego dzieciństwa i płochęj młodości?

— Zapewne że tak, bo tych wszystkich chwil lepiej dzisiaj użyćbym umiał.

— A ja panu powiadam, że nietylko byś pan ich nie użył, ale wypraszałbyś się najpokorniej wieszczce albo geniuszowi, któryby panu zagroził ich powróceniem. Bo i rzeczywiście, wejdź pan sam w swoje wspomnienia, tylko szczerze, sumiennie, nie oszukując siebie, i powiedz mi co jest tak pięknego w tém naszym tak przechwaloném dzieciństwie? Zależność najpełniejsza, nie mówię już od rodziców, mniejsza z tém, ale od matek, nianiek, bon, służących, częstokroć z bardzo różnych przyczyn niemiłych istot, które nad nami przewodzą. Jedną z największych przyjemności dziecka jest jeść do syta to, co ono uważa za łakocie. Otóż przez wzgląd na jego zdrowie, odmawiają mu zwykle téj właśnie przyjemności. Dziećmi będąc, widzimy naokoło ludzi swobodnie robiących to i owo, i pojmujemy tę ich swobodę, a nam niewolno kroku zrobić bez opowiedzenia się. A kary różne, a owa z elementarza różeczka, którą podług abecadników pijarskich Duch święty radzi bić dzieci, czyż to wielkie są przyjemności? A jakże lada zmartwienie, lada przeciwność olbrzymieje dla dziecka! Ziarno staje się górą, a każde zadraśnięcie palca niezagojoną raną. A cóż dopiero kiedy się zacznie nauka! No już każdy przyzna, że niema na świecie nic przykrzejszego, jak położenie uczącego się dziecka. Zanim ci litery wleżą w głowę, zanim nauczysz się wiązać je w sylaby, musisz prawdziwe męczarnie Danaid przebywać. A gorzej jeszcze gdy rozpoczniesz stawiać kręski na papierze. Jedna nuda zastępuje drugą, a jedna od drugiej staje się przykrzejszą. Niechże teraz rozpoczniesz się łacina i broń Boże greczyzna, niech ci każą tłumaczyć Neposów, Sallustiuszów, Liwiuszów, najnudniejszych, przynajmniej dla dzieci, bazarzy pod słońcem. Bo wierzajcie mi państwo, w tych wszystkich arcydziełach smakują tylko professorowie języków starożytnych, bibliotekarze i amerykańskie damy, dobijające się o naukę w uniwersytetach. Ale rozkazacie któremu z nas żeby odczytał na przykład od deski do deski dzieciństwo Cyrusa przez Xenofonta, dzieło wielce sławne, ręczę że nie domęczy go do końca. Chłopak zaś uczący się musi przejść przez te wszystkie plagi: wara mu od książek zabawnych, od dzieł które stanowią uciechę i roskosz późniejszego wieku; samo przedwczesne czytanie ulubionego poety, jest już dla niego zbrodnia, bo poeta nie dla uczniów szkolnych pisze. Nie zrozumie on tego i tak, powiecie. A któżby lepiej zrozumieć potrafił zapal i uczucie, jak ten co właśnie cały jest uczuciem i zapalem? Ale co tam. Ucz się kochanie geometrii, pracuj nad kwadratami, nad trapezami, nad lukami, nad promieniami koła; czytaj rozprawę o ciałach ważkich i nieważkich; ślęcz nad chemią, która nim dorosisz, przetworzy się zupełnie, tak iż twoja nauka na nic ci się nie zda; wbijaj sobie w pamięć tysiące reguł, które najczęściej w dalszym życiu żadnego nie znajduj zastosowania,—bo to twoja powinność, twoje szczęście, to obowiązki pierwszej młodości twojej. I pan chcesz żebyś żałował tych lat spędzonych pomiędzy grammatyką a tabliczką mnożenia, pomiędzy nie wiem tam wielu pierwiastkami metalowemi i niemetalowemi, a kwadratem z przeciw-

prostokątnej? I pan chciałbyś się wrócić do tego błogiego wieku? Prawdziwie, nie zazdroścę panu. Ręczę że gdybyś się pan sam zastanowił nad tém, a przeszedł pamięcią wszystkie te chwile życia upłynionego, które obecnie w mglistych zaledwie przedstawiają nam się zarysach, odeszłaby pana prędko ta chętką.

— Przynajnie, odrzekł otyły jegomość, że jest w tém trochę słuszności, i może dobrze pomyślawszy, nie chcielibyśmy powrócić do szkolnych czasów, chociaż nieraz z wielkim żalem przypominamy sobie że już minęły. Ależ młodość nasza, ta prawdziwa młodość od dwudziestu do trzydziestu lat, czyliż to nie jest najpiękniejszy wiek i czyliż nie szczerze żałować przychodzi, że przeminał już bezpowrotnie?

— Tak, żałujesz pan téj młodości, żałujemy jej wszyscy, bo w pamięci naszej świetne tylko barwy pozostały, a czarne zniknęły. Ot przed chwilą pan radca mówił że chleb najczęściej wtenczas przychodzi człowiekowi podostatkem, kiedy niema już zębów do jedzenia go. Niestety! młodość posiada zwykle dobre i zdrowe zęby, ale znów nie ma co pod nie włożyć. Miłość, powiecie państwo, nagrodzi za wszystko; poeci nazywają ją młodości koroną. Ale uderzmy się w piersi: wtenczas właśnie kiedy ta miłość najsilniej rozkrólowywała się w naszym sercu, staje się ona nie źródłem roskoszy, lecz źródłem cierpienia. A żeby być kochanym, potrzeba już przejść pierwsze ogniste próby; rzadko kiedy kobiety ocenić potrafią tę Boską iskrę, która się ze szczerzego a niewinnego jeszcze serca wydziera. Ten co wzajemność zyskuje, sam już nie kocha, a raczej oszukuje siebie i swą wybraną, dając tylko pozor za rzeczywistość. Ale mniejsza o tę wieczną historią serca, o której zbyt wiele już prawiono, ażebyśmy się tu mieli długo nad nią zastanawiać. Cierpienie jest życiem, powiadają, kto cierpi, ten się przekonuje że żyje, że nie jest trupem. Owóż o ile każde cierpienie wydatniejszem, straszniejszym jest w młodości naszej! Nerwy jeszcze nie zdrętwiały, nieokrwawione serce, na duszy nie porosła jeszcze powłoka egoizmu i obojętności. Powieź mi pan że są młodzi co nie doznają tego wcale, co nie cierpią, nie myślą. Nie przeczę temu; ale czy też tacy mogą się naprawdę nazywać młodymi? To staruszkowie zużyli już i zgrzybiali przed czasem, to kawały drewna, z ustami do palenia cygar i żołądkiem do trawienia pokarmów. Jeżelibyś pragnął być takim, to już lepiej ci panie w tym wieku w którym jesteś, bo przynajmniej choćbyś był teraz egoistą, obojętnym, zimno rozważającym rzeczy, to jesteś w całym prawie swoim; czas twój przeszedł, doświadczenie ostudziło cię, walka z ludźmi i ze światem pozbawiła sił i energii. Ale choćbyś po tysiąc razy tłumaczył młodemu, że takim być na świecie lepiej i wygodniej, to on ci nie uwierzy, nie powinien uwierzyć, aż dopóki sam na świecie nie odegra swojej roli, nie pozostawi po za sobą śladów cierpienia, udając się w dalszą życia drogę. Zapewne że żyło się wtenczas zdwojonym życiem, ale któżby z nas chciał rany napół już zagojone w sercu odnawiać i odżywiać?

— Ale jakież wnioski z dowodzenia pańskiego? zapytała podeszła dama.

— Jakże? Przedewszystkiém że życie nasze nie jest rajem i że każdy wiek ma właściwe sobie przyjemności i niedogodności; jeden więc drugiemu zazdrościć nie powinien. Powtóre, że znajdujemy się tu, jak powiedział pewien włoski poeta, którego nazwiska nie pamiętam, jakby na przedstawieniu komedyi. Wszyscy jesteśmy widzami; ale u progu sali teatralnej stoi straszny dozorca, śmierć z kosą, która sprząta każdego co ten próg przestąpi. Widzowie wiedzą o tém dobrze i nie przeszkadza im to bawić się bardzo wesoło odgrywaną przed nimi farsą życia. Gdyby jednak dozorcę usunąć i gdyby wolno było wracać do sali, kto wie czyby widzowie to uczynili, jak ja zaręczam państwu że nie chciałbym po drugi raz czytać historii o Magiellonie królewnie neapolitańskiej.

— No, no, odezwała się młoda i ładna kobieta, która dotychczas zachowywała milczenie, przynajnie jednak państwo, że młodość, piękność, majątek, zdrowie, są to dary nie do odrzucenia i że tym co je posiadają nienajgorzej dzieje się na tym padole płaczu.

— Wybaczy pani, rzekł młody doktor siedzący przy niej, że nie zgodzę się z jej zdaniem. Ja na przykład posiadam niezaprzeczenie jeden z tych darów, to jest młodość. Uczyłem się tyle co i inni, i pisma publiczne raczyły nawet kilkakrotnie łaskawie wspomnieć o moich powodzeniach naukowych. Kocham powołanie swoje, pragnę mu się poświęcić całym sercem i chęć szczerze popracować. Ale cóż mi z tego? czy uwierzy pani, że pragnąłbym czémprędzej pozbyć się tego niewygodnego przymiotu młodości?

— A to dlaczego?

— Spytaj się pani siebie samej. Czy w razie

słabości raczyłabyś pani przyjąć mnie za doktora? Gdzie tam! odepchnęłabyś moje porady, utrzymując że młody, zbyt niedoświadczony, że nie chceś żeby na tobie ktoś robił naukowe próby. A przytém ze starym doktorem jakoś łatwiej: można mu wszystko powiedzieć, zwierzyć się ze wszystkiego, to ojciec, to wujaszek, to opiekun. Ale młody..... dobry do towarzystwa, tylko nie na lekarza. Rozmawiać, bawić się z nim, zapraszać go do siebie można, ale powierzyć się mu..... Trzeba żeby głowa mu wyłysiała, żeby wypadły, żeby tuszy przybyło. To są w obec was, piękne panie, i wobec wielu nawet mężczyzn, nasze stopnie naukowe. I wierzaj mi pani, że nieraz przychodzi mi zazdrościć tym inwalidom, których wzięcie zjawia się wówczas, kiedy tracą już ochotę do pracy i zapal do nauki.

— A piękność, odezwał się artysta, ot to mi rokoszny przymiot! Jeszcze dla pań, nie mówię, chociaż daje ona bardzo krótko-trwałe szczęście, a raczej tylko pozor szczęścia, a potem podwójną klęską, podwójnym strapieniem przywała królową z tronu zepchniętą. Ale dla nas mężczyzn uroda twarzy jest nieledwie patentem głupoty. Piękny, mówią, chłopczek, woskowa lalka, figurka porcelanowa; tam w mózgu nie być nie musi. I choćbyś rozprawiał jak Cycero albo jak sam Bias, nikt nie uwierzy twojemu rozumowi, każdy sobie powie: „Zanadto uroda jego wymaga starań zewnętrznych, żeby mu starczyło czasu na ukształcenie wewnętrzne.“ A niedość na tém. Jeżeli mężczyzna piękny jest już nieszczęśliwy, to mąż pięknej żony podwójnie więcej cierpi. Piękna żona powiedział Beaumarchais, to szyld sklepowy, którego wszystkie ozdoby malowania zwrócone zawsze bywają ku ulicy, podczas kiedy właściciel widzi tylko przed sobą odwrotną czarną jego stronę. Mąż pięknej żony traci swoją indywidualność, staje się jakimś satellitą, przedmiotem bez nazwiska. „Kto jest ten pan?“ zapyta ktoś. „A nie wiem, odpowiedzą, to podobno mąż téj pięknej pani N., która takie powodzenie ma w świecie, którą tak wszyscy uwielbiają.“ Zaszczytne zaiste stanowisko! A gdy piękność żony zniknie, wymaga ona żeby małżonek wynagrodził jej to, co straciła u świata i wkłada mu na głowę podwójną cierniową koronę.

— A zdrowie, odezwał się jakiś herkulesowej budowy młody człowiek, to już najstraszliwsza klęska jaka niewinna ofiarę spotkać może. Jeżeli dobrze wyglądasz, jeżeli masz rumieńce, jeżeli nie chwiesz się za lada potrąceniem, toś już zgubiony w opinii u ludzi. Ten człowiek nie ma nerwów, lecz postronki; to egoista, strawny ma żołądek; on nie czuje, nie myśli, nie żyje,—ozwie się chór głosów. Nie uwierzą twojej miłości, nie uwierzą twojemu zmartwieniu, nie uwierzą rozpacz twojej; wszystko to bowiem musiałyby koniecznie powierzchownemi odbić się cechami. Owszem wszystkie przykrości, których świat oszczędza człowiekowi wyglądającemu delikatnie, na ciebie zwała się jak grad, bo masz dość silne barki na zniesienie téj nawały. Wierzajcie mi państwo, zdrowie jest plagą egipską, od której niechaj Bóg każdego z was uchroni.

— A majątek, odezwał się jegomość niezmiernie imponującej postaci, bawiac się z grubym łańcuszkiem od zegarka, to także przesąd i kto wie czy nie większy od innych. Dziś, wołają, nastalo panowanie bogactwa, dziś dukat na wierzchu piramidy ludzkiej. Ale cóż z tego? Pieniądz obok tego bywa także często cierniową koroną. Czy myślicie że majątny człowiek ma przyjaciela? Gdzie tam. Posiada on mnóstwo domowników natrętnych, pochlebców, ale przyjaciół... kiesznie tylko jego ma przyjaciół, on nie. W każdym stosunku, w każdych związkach, w każdej nawet sercowej sprawie ten pieniądz powstaje po za nim, wołając grzmiącym głosem: „To nie dla ciebie ten uśmiech, to nie dla ciebie ten pokłon, nie dla ciebie to ściśnienie ręki, nie dla ciebie ten wyraz słodkiego zadumania, który wystąpił na czole ukochanej kobiety, duszę przepowiednią szczęścia rozmarzając. Wszystko to dla mnie; ja jestem celem tych wszystkich holdów, ja ciebie wnoszę, zasilam, podpieram, i niechaj usunę dłoń swoje pomocniczą, staniesz się bezsilnym i zapomnianym, jak ci wszyscy co dziś witają cię pokłonem, a w głębi serca może chowają dla ciebie zazdrosne zlorzeczenie. Biedny zaslepienecz! Jesteś tylko kuponem od listu zastawnego, i niczem więcej.“ Wierzajcie mi państwo, daleko łatwiej, a często pożytecznie, być ubogim, aniżeli bogaczem.

— A ja utrzymuję, rzekła młoda dama, że niema szacowniejszych przymiotów nad młodość, zdrowie i majątek, i zaraz państwu tego dowiodę.

Ale nie mogliśmy już usłyszeć jej dowodzenia; wybiła bowiem właśnie godzina rozłączenia się i każdy miał się ku wyjściu.

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

SZCZĄTKI ZAMKU W PŁOCKU.

Ze wszystkich miast królestwa najdawniejszym może jest Płock, gdyż od samego wprowadzenia chrześcijaństwa mamy już o nim wzmiankę. Wedle świadectwa kronikarzy tu Mieczysław I założył jeden z dziewięciu wzniesionych przez siebie kościołów, a syn i następca jego Bolesław Chrobry, do stopnia katedralnego go wyniósł. Wzrastało pod późniejszymi królami to miasto tak dalece, że prawnuk Chrobrego Władysław Herman i syn tego ostatniego Bolesław Krzywousty już w niem częściej niż w Krakowie przemieszkiwali i obaj w zamku płockim zmarli. Był więc tutaj zamek monarszy od niepamiętnych czasów.

Po rozdzieleniu kraju na księstwa, gdy Płock został stolicą całego Mazowsza, a później jednej z najgłówniejszych w niem dzielnic, przemieszkiwali w zamku tutejszym Konrad starszy syn Kazimierza Sprawiedliwego, książę całego Mazowsza, synowie jego Bolesław i Ziemowit, oraz kilku ich następców. Zamek ten pierwotnie był z drzewa stawiany, lecz pomimo to musiał być bardzo obronnym, gdy Prusacy w roku 1244, mszcząc się na Konradzie, spalili Płock, zostawiając tylko zamek, którego zdobyć nie mogli. Później atoli po kilkakroć był spalony, mianowicie przez Mendoga księcia litewskiego w r. 1260 i przez Władysława Łokietka w czasie wojny z Krzyżakami w r. 1326.

Dopiero kiedy król Kazimierz Wielki prawem spadku i kupna objął Płockie, wnet między rokiem 1356 a 1360 wznosił w Płocku z muru wspaniałą i obszerną zamek, z dwiema wysokimi wieżami i z podwójnymi murami w koło go otaczającymi, obwiedziony fossą, który był jednym z najobronniejszych w Polsce. Wechodzi-



Nr. 54.

Wiek XVI. Bakalarz uczący dzieci. (Rysunek wzięty ze starych drzeworytów w Zwierciadle Reja).

(Dalszy ciąg nastąpi).

ło się do niego przez most zwodzony za pierwszy mur bramą, nad którą znajdowała się strażnica obok sklepienia, gdzie potem księgi grodzkie i ziemskie chowano. Za drugim murem, nad którym wznosiła się wysoka wieża, szlachecka zwana od tego, że szlachtę do niej za przewinienia sadzano, stał obszerny gmach murowany, pod dachówką, zawierający w sobie wiele komnat ówczesnym zwyczajem ozdobionych. Na dole mieściła się kuchnia, a obok sieni, z której wejście było do obszernej sali, później izbą sądową zwaną. Kazimierz Wielki, wystawiwszy ten gmach i ozdobiwszy go na wzór zamku krakowskiego, mieszkał w nim niekiedy. Potem, gdy znowu Płock wypuścił w lenne posiadanie książętom mazowieckim, posiadał go Ziemowit książę na Płocku, który w nim umarł roku 1381. Tu w r. 1386 gościł król Władysław Jagiełło wraz z królową Jadwigą, w przejeździe do Litwy, udając się dla jej nawrócenia na wiarę chrześcijańską, i z licznym orszakiem książąt i panów znakomitych wspaniale był podejmowany przez syna Ziemowita.

Zamieszkały przez następców tegoż Ziemowita, książąt mazowieckich Władysława I syna jego, Ziemowita VI wnuka pod opieką matki Anny i nareszcie Janusza II ostatniego księcia płockiego roku 1493 zmariego, utrzymywał się długo w dobrym stanie, nawet po wygaśnięciu książąt mazowieckich. W końcu jednak, po przyłączeniu księstwa płockiego do Korony, uległ spustoszeniu. W r. 1517 Zygmunt I polecił biskupowi płockiemu Erazmowi Ciołkowi, aby się zajął jego odbudowaniem, w czem mu miał dopomagać, mianowicie w dodawaniu robotników, starosta płocki Prokop Sierpski z Golezewa, do czego go król pismem swoim wezwał, pod zagrożeniem, że jeżeli tego zaniedba, zmuszony będzie



WIDOK PŁOCKA W PORZE WIECZORNÉJ. (Rysował z natury Fabijański).

swoim kosztem zamek odnowić. Przekonywają o tém dokumenta drukowane w 1 i 3 tomie aktów Tomickiego.

Po Prokopie Sierpskim, który umarł wkrótce roku 1518, król powierzył dozór zamku wraz ze starostwem plockim bratu zmarłego, Feliksowi Sierpskiemu podkomorzemu plockiemu. Po nim sprawował ten sam obowiązek Andrzej Sierpski, brat czyli też syn Feliksa. W wyreparowanym w ten sposób gmachu po zgonie króla Zygmunta, podobnie jak w wielu innych, przebywała często królowa Bona, dostawszy Mazowsze za oprawę.

Później aż do roku 1616, to jest prawie w sto lat po zejściu książąt mazowieckich, za Zygmunta III podczas lustracji która dość szczegółowo go opisuje, zamek ten, oprócz murów w kilku miejscach porysowane, jeszcze w dość dobrym stanie się znajdował, co też zaświadcza i Andrzej Święcicki, współczesny autor opisu topograficznego Mazowsza. Dopiero w czasie wojny szwedzkiej za Jana Kazimierza, kiedy miasto Plock przez wojska nieprzyjacielskie z Warszawy co-

tém bardziej że z murów otaczających go, o których wyżej wspomnieliśmy, nie z każdej już strony nawet fundamenta dopatrzeć można. Mieszkalna atoli część tej budowli oddzielny jak się zdaje tworzyła czworogranną, mogącą służyć do obrony, nawet po opanowaniu bramy przez nieprzyjaciela. Dziś czworogranną ten, północnego tylko boku pozbawiony, zresztą istnieje w całości, lubo mało jest w nim części takich, któreby czasy Kazimierza Wielkiego zapamiętały.

Do tych ostatnich należy przedewszystkiem owa wieża w narożniku zachodnio-południowym nad Wisłą stojąca, od spodu czworograniasta, u góry osmioboczna, płaskawym, piramidalnym daszkiem zakończona, zwana szlachecką, o której wyżej wspomnieliśmy. Mury jej stawiane z cegły, bez tynku, choć znacznie podobno zniżone, poważnie dotąd wyglądają. W narożniku północno-zachodnim wznosi się inna wieża, służąca zarazem za dzwonnice katedralnego kościoła. Budowa tej wieży piękna i nader osobliwa, sięga niezawodnie środka XIV stulecia. Przytyka do niej mury wystawka, na której mieści się zegar.

daleką jeszcze odbyć muszą pielgrzymkę, zanim staną u mety zupełnego rozwoju. Podlasie dotąd pozostało dosyć wiernem swojej nazwie; bo o ile z innych okolic ciągle dochodzą skargi i złowrogie przewidywania z powodu tępienia lasów, o tyle nadbużańskie strony przez długie jeszcze lata obfitować w nie będą.

Mimo to smutnym spoglądałem okiem po wioskach, tak różny przedstawiających widok od wsi wielkopolskich. Matka przyroda nie poskapła tu swoich darów ku utrwaleniu dobrobytu mieszkańców: dostatek ziemi, łąk, pastwisk, wód, lasów, a co najważniejsza, bliskość miast i główniejszych traktów, powinny wkrótce wpłynąć widocznie na zamożność Podlasian. Lecz do tego potrzebne jest bezzwłoczne uregulowanie stosunków włściańskich, otworzenie rolnikom jaknajkorzystniejszych dróg do zbytu produktów ziemnych, przedewszystkiem zaś oświata ludu, bez której ekonomia polityczna pozostałaby zawsze martwą tylko literą.

Nie zastanawiając się dłużej nad Podlasiem, posłuszny głosowi trąbki przerywającej kiedy niekiedy



KATEDRA I SZCZĄTKI ZAMKU W PŁOCKU. (Rysował z natuzy Kozarski).

fające się spalone zostało, i zamek tegoż samego dnia znalazł los; mianowicie wszystkie jego zabudowania wewnętrzne do szczytu zgorzały, jak to zeznaje lustracja roku 1661.

Już zamek plocki wtedy tak spustoszał, że starosta nie mógł w nim mieszkać, ani sądów odbywać, ani kancelaryi grodzkiej utrzymywać; mury bowiem tak były porysowane i pochylone, że dla grożącego od nich niebezpieczeństwa kościołowi katedralnemu, musiano część zamku rozebrać. Opuszczony ów plac zajęli księża wikaryusze katedralni, dla których na tém miejscu później nowy gmach wystawiono. Nareszcie gdy za drugiej wojny szwedzkiej w r. 1704 w zamku nastąpiła bitwa, został on do reszty spalony, a szczątki jego murów za rządu pruskiego były rozebrane.

Sądząc ze śladów dotąd widocznych i z opisów jakie nam pozostały, zamek ten zbudowany był od zachodu na wyniosłości nad Wisłą, a w obrębie swoim zawierał nie tylko mieszkanie książęce, ale obejmował jeszcze katedrę naprzeciw niego stojącą. Jaka była pierwotna jego postać, trudno jest teraz odgadnąć,

Południową ścianę zamkowego czworokąta stanowił niegdyś dzisiejszy kościół i klasztor księży misjonarzy, dawniej benedyktyński, resztę zaś czworokąta zajmują teraz mieszkania wikaryuszów i altarystów katedralnych, dla których król Zygmunt I przywilejem z roku 1538 gmach w obrębie zamkowym wzniesić dozwolił.

WYCIECZKA NAD BRZEGI BEREZINY.

Nasze Podlasie w ciągu jednodniowej podróży nie mi nowego nie stawilo przed oczy: wszędzie fizjonomia kraju jedna i ta sama. Gdziekolwiek tylko okazalsza siedziba nadbużańskie krasi okolice; gdziekolwiek cywilizacyjna ręka wyryła już na polach i łąkach widome swe ślady. A zresztą *wszystko tak jak było*... niewiele tam ujrzysz z tego, co znamionuje pomyślność narodową. Handel, rolnictwo i przemysł

moje marzenia, przebyłem nareszcie Bug i po litewskiej ziemi pośpieszałem dniem i nocą do zamierzonego kresu podróży. Szybko minąłem Kobryn i szóstym pasem zwirowej drogi przejechałem kilkadziesiąt milową przestrzeń do Słucka, owęj wiekopomnej drugiej stolicy książąt na Nieświeżu; przebyłem Bobrujsk i dalej jeszcze przez smętne i ponure jechałem Polesie; a wszędzie lasy, błota i dymne kłębki włściańskie głównie na siebie zwracały mą uwagę.

Ileż to skarbów niepoznanych na tej litewskiej marnej ziemi! Wszystko tam jeszcze potrzebuje czasu, pracy i nakładu, aby przybrać mogło choć w części cywilizacyjny pozór Zachodu. Niezmierzone obszary lasów, obfitość drzewa i siana, lecz utrudnione przyciem komunikacye z miastami i rzekami spławnymi, nie zniewalają bynajmniej właścicieli dóbr ziemskich do regulowania porębów leśnych i zakładania nowych zagajników. Prawidła leśnictwa są po większej części nieznanne mieszkańcom Polesia. To samo da się powiedzieć o utrzymaniu łąk, pastwisk i uprawie roli, a cóż dopiero o drogach, groblach i przeprawach!

Ale zostawiając bliższe rozpoznanie i uwagi nad kulturą zewnętrzną Polesia ludzimi specjalnym, zajrzyjmy raczej, z obowiązku badacza strony duchowej ludu naszego, do kurnych czyli dymnych chat poleskich, aby ztamtąd wydobyć na jaw zawiedłe kwiaty poezji i ich niknącą, przydymioną wonią podzielić się z czytelnikiem.

Był dzień niedzielny. Nad przepaścistym załomem nadbrzeżnej rzecznej ściany stałem pogrążony w dumaniu. Podemną przesuwały się różnobarwne bandery berlinek, a z oddalenia dolatywała smętna i przeciągła dumka białoruskiego flisaka. Nieruchomy wzrok zatopilem w nurtach Berezyny, a duchem i myślą cofnąłem się o pięćdziesiąt blisko lat w przeszłość.

Z niedalekiej cerkwi odezwały się dzwony. Z oparłanionych podwórzy, z zakopcanych chat mieszkalnych wysuwał się lud poleski i podążał na nabożeństwo. Mężczyźni ubrani w białe sukmany, podwiązani pod szyją szerokimi rękawicami, które przyozdabiają różnokolorowe znaczki, szlarki i krzyżyki, w wysokich, półpiramidalnych czapkach, w góralskim nóg ubranii; kobiety w białych namitkach, w męzkich sukmanach i chodakach, przy gwarnej pogawędce pośpieszały za nimi.

Wtém nadjechało grono weselne. Ciekawy poznać choć pobieżnie niektóre zwyczaje Polesia, pożegnałem jeszcze raz wzrokiem ową wiekopomną rzeczną mogiłę i w mieszałem się w tłum godowników.

Zdziwiłem się niemało tój smętno-sielskiej ochocie, tym jakby wymuszonym i tylko dla zwyczaju powtarzanym śpiewom i obrzędowi, które u nas płyną z taką swobodą, z takim zapomnieniem o chwilach niedoli, jak gdyby w dzień godów weselnych kończyły się wszystkie dawniejsze nieszcześcia, a zaczynała nowa era życia. Tego, mimo obecnej zmiany stosunków włościańskich, nie znalazłem na Polesiu. Na szczere i życzliwe wyrazy mego pozdrowienia, odpowiadano z początku z pewnym niedowierzaniem, unikając dalszej rozmowy. Jakaś dziwna ponurość, jakiś brak pojętności w spojrzeniu, która znamionuje polskiego wiesniaka, malowały się na twarzach większej części Poleszczuków.

Ale to rzecz naturalna. Chłop poleski, niemający przez tyle lat własnej woli, wliczany do inwentarza składającego ruchomy kapitał dziedzica, zamieszkujący wraz z bydłem niepodobnie do mieszkań ludzkich, zakopcone i niskie klęty, bez okien i dachów, przywykły do służalczej uległości, brudny i nieruchawy, — żadnym sposobem rozwinąć w sobie nie mógł władz ciała i duszy. Prócz własnego gniazda, gdzie się urodził, wzrósł i wychował, prócz obwołu rodzinnej wioski, często nie zaznał dalszego świata i ludzi. Do miasta nawet rzadko kiedy mógł zajrzeć, bo czas jego był zajęty, bo wszystkie potrzeby życia były mu przez dwór lub arendarza dostarczane we wsi. Zresztą lesiste i ponure okolice, zbyt oddalenie od siebie wioski, jałowa, piaszczysta i sapiasta po części ziemia, błotne i niebezpieczne przeprawy z jednego miejsca na drugie, — wyrobiły ten odosobniony i dziwnie obojętny na wszelkie zewnętrzne wrażenia charakter poleskiego ludu. Pomieszkały się w nim pojęcia i wyobrażenia religijne, zmienił się język do niepoznania, a przez odosobnienie od reszty świata pozostał tak dziwne zwyczaj i przesydy, jakich nie zdarzyło mi się napotkać gdzieindziej.

I dziś, mimo reform włościańskich, jakimi się właściciele na Polesiu, z małym tylko wyjątkiem, gorliwie i z godnym naśladowania zapalem zajmują, nieprędko chłop tameczny przyjdzie do uznania własnej woli i godności człowieka, bo brak mu dotąd oświaty. Przywykły przez wieki do cudzej woli, nie znając kłopotu starania się o pieniądze, którego mało potrzebował, naraz zmuszony został pamiętać i myśleć o sobie. Obowiązkiem jest zatem przewodniczyć temu ludowi w trudnych początkach nowego jego życia, iść mu w pomoc z ulgą i przyjacielską radą w każdej potrzebie; przedewszystkiem zaś starać się o to, ażeby, mając drzewa podostatkiem, budował sobie porządniejsze jak dotąd mieszkania; czysta bowiem, obszerna i widna siedziba, nie może pozostać bez wpływu na rozwój władz fizycznych i moralnych.

Ale od tych przelotnych spostrzeżeń społecznych, wróćmy do wesel, o których obszerniej mówić zamierzylem.

Jakkolwiek kilkotygodniowa tylko bytność moja nad Berezyną nie dozwoliła mi wejrzeć we wszystkie szczegóły życia mieszkańców Polesia, starałem się przecież zbadać dokładnie przynajmniej ich zwyczaje weselne, zwłaszcza że znalazłem je zupełnie różnymi od podobnych zwyczajów w innych stronach. Wszystko się tu odbywa z pieśnią na ustach, która do każdej okoliczności odmienną przybiera barwę. Począwszy od poswatania, aż do ostatecznego połączenia dwojga narzeczonych, pieśń ważną gra rolę; bez niej nie-

ma wesela i obrzędów godowych, bez niej matka nie udzieli błogosławieństwa, bez niej pan młody nie ma prawa do swój oblubienicy. A ileż przytém zabobonów, ileż pogańskich ceremonij towarzyszy owym godom!

Młodzieniec Izidor objawia rodzicom swym zamiar żenienia się z wybraną przez siebie w témże samém siole zamieszkałą sierotą Marysią. Po wysłuchaniu syna, ojciec przybiera sobie do towarzystwa dwóch wymownych i poważanych swatów, i z chlebem, solą i wódką udaje się w dom opiekunów młodej sieroty. Na wstępie zaraz swaty odgrywają rolę kupców, dopytując się o towar, cenę i wartość jego; nareszcie, przy licznych poczęstunkach, następuje ugoda: — dobito targu. Opiekunowie panny młodej, na znak zezwolenia i poswatania, dają dla przyszłego zięcia trzy wielkie ręczniki w podarunku i umawiają się ze swatami o wyznaczenie dnia na zaręczyny.

W kilka dni potem, zwykle w sobotę, ojciec nowożeńca wraz z dwoma swatami zbiera gromadę mężczyzn, — naznacza drużbę (kniazia), który koniecznie musi być żonatym, i zabrawszy z sobą pana młodego, liczne to grono mężkie udaje się w dom opiekunów narzeczonej, gdzie już zebrany tłum kobiet różnego wieku oczekuje przybycia pożądanego gościa.

Nareszcie drużyna mężka zgromadza się w izbie, a kobiety ustępują do sieni. Książczyli drużba pełniący obowiązki wice-gospodarza domu, zasada wszystkich za stołem, zostawiając próżne miejsce dla młodzieńca, który przy progu oczekuje wezwania po odbiór rodzicielskiego błogosławieństwa. Na donośny głos kniazia: „Błogosławi ojciec, mat' i chto w chacie zdrow buwat“, przystępuje młodzieniec, prowadzony przez drużbę, do rodziców, od których otrzymuje błogosławieństwo; potem oddawszy trzy pokłony przed obrazem, siada za stołem pomiędzy towarzystwo poważnych wiekiem mężczyzn.

W czasie tym panna młoda, z butelką wódki w ręku, wychodzi do sieni, aby tam zebrać młode drużki i swachy i uczestować je. Żeńskie to grono, tworząc odrębne towarzystwo, zasiada za stołem, bierze wpośród siebie pannę młodą, a podochocone trunkiem dziewczoje rozpoczynają śpiew, niby żegnający sierotę, bo jakąś smutną, przeciągłą brzmiały melodyą.

Następują wreszcie zaręczyny. Książczyli odebrana obrączkę od młodzieńca wkłada w kieliszek wódki i przynosi do panny młodej. Obok niej siedząca druchna wyjmując obrączkę z kieliszka i podaje sierocie, a ta wkłada ją na palec, podany zaś kieliszek wódki wylewa przez głowę na ziemię. Młodzieniec tymże samym sposobem odbiera obrączkę od swój oblubienicy, a kobiety tymczasem zawodzą stosowne śpiewy.

Teraz narzeczona kłania się wszystkim przytomnym, całuje podany sobie obraz, a potem ukrywa się pomiędzy drużkami. Narzeczony posyła jej przez kniazia pieniądze. Ten, nie mogąc niby znaleźć panny młodej, pyta się ciągle: „gdzie niewiasta?“ Na to dziewczęta, zakrywając ją sobą, odpowiadają: „znajdzi.“ Nareszcie odszukana panna młoda przez drużbę, odbiera przysłane od narzeczonego pieniądze, sama zaś posyła mu w zamian ręcznik.

Po tych wszystkich ceremoniach prowadzą narzeczoną za stół do towarzystwa mężczyzn, gdzie drużba, dopełniając zaręczyn, bierze rękę panny młodej i łączy ją przez chustkę z ręką narzeczonego. Wszyscy przytomni podają sobie także ręce, potem stają na ławkach, a panna młoda siada obok narzeczonego, przed którym drużba trzyma zapaloną świecę.

Potem narzeczona zdejmując swojemu oblubieńcowi czapkę z głowy, ażeby do niej przypiąć kwiatek, i wkłada ją na swoje głowę, a chór kobiet jej przyspiewuje. Drużba stojący z innymi na ławie, schodzi na dół, nalewa w kieliszek wódki, kładzie w niego grosz i zaczyna się targować z starszą drużką o czapkę pana młodego. Po długich ceregielach i dokładkach groszowych, panna młoda zgadza się wreszcie na oddanie czapki.

Ceremonia z czapką narzeczonego dość długo się przeciąga, różne wywołując figle, śmiechy i okrzyki. Nie braknie tu na dowcipnych śpiewkach wydrwiwiających drużbę i na mniej estetycznych porównaniach, od których przytoczenia wstrzymuję się. Drużba wykupioną czapką wywija nad głowami narzeczonych, uderza ich nią, a potem kładzie obojgu po kolei na głowy.

Nareszcie rozpoczyna się wieczerza. Wszyscy zasiadają do stołu; drużba zaś wyprowadza narzeczonych do drugiej izby, gdzie dla nich osobny stół zastawiono. Wstydliva panna młoda, nie chcąc przed ślubem pozostać sam na sam z narzeczonym, ukrywa się przed nim. Wśród długiego a nadaremno szukania oblubienicy, inne dziewczoje z przytyłym uśmiechem i zalotami stawiają się przed oczy panu

młodemu, wołając: „To ja twoja.“ Nie znalazłszy narzeczonej, pan młody sam zasiada do stołu, zjada wieczerzę i odchodzi do domu, a za nim wynosi się powolnie grono biesiadników.

W większym daleko rozmiarze i z liczniejszymi szczegółami odbywa się właściwy akt weselny, trwający często przez dni kilka. Żeby jednak uniknąć roz-wlekłości, w skróceniu tylko przytoczymy główniejsze jego sceny.

Kiedy już państwo młodzi, w towarzystwie weselnego grona, udali się do ślubu, matka narzeczonej zbiera w dom swój prawie wszystkie kobiety ze wsi; te przynoszą z sobą po kieliszku mąki i każda wchodząc do chaty odśpiewuje na progu stosowną piosenkę. Gospodyni domu zasada je potem za stół, przyjmuje wódką i chlebem, a po jedzeniu każda z bab wysypuje przyniesioną mąkę do ustawionej w kącie dzieży, do której gospodyni dolewa wody. Przy rozczynianiu kwasu chór kobiet zawodzi długą pieśń.

Po skończonym tym symbolicznym obrzędzie, kobiety rozchodzą się do domów. Tymczasem państwo młodzi powracają od ślubu. Każde z nich obowiązane jest udać się do domu swoich rodziców i tam ukrywając się gdziekolwiek w kącie, oczekiwać dalszego swego losu. Zebrani drużbowie szukają pana młodego, a znalazłszy go, sadzają na ustawionej w środku izby próżnej dzieży, smarują włosy jego miodem, a przypalając je płonąca trzaską, stosownie do tej okoliczności zawodzą śpiew. Po tej prawdziwie pogańskiej ceremonii, wyprawiają pana młodego na dwór, gdzie pozostać musi tak długo, dopóki u panny młodej nie odbędą się konieczne obrzędy.

Tymczasem w domu rodziców tój ostatniej zgromadzone kobiety częstują się i wykrzykują, drużki zaś i dziewczoje przynoszą przystrojoną w różne kwiatki choinkę i stawiają takową w bochenku chleba na stole. Późem stare baby zabierają się do wypiekania z zaczynionego ciasta różnych bułeczek, pierożków i tak zwanych *szészków*. Gospodyni domu traktuje wszystkich miodem i wódką, a po licznych poczęstunkach, rozpoczyna się taniec mający coś wspólnego z *Ländlerami* niemieckimi.

Nareszcie panna młoda pokazuje się w progu. Kobiety chwytają ją między siebie, zaprowadzają do stołu i różne pod względem stanu małżeńskiego dają jej rady. Starsza drużka odprawia tymczasem modlitwy, zbiera do siebie swatki, zakłada woły do woza i jedzie po nowożeńca, wywodząc po drodze śpiewy. Zabrawszy pana młodego, powraca w towarzystwie wszystkich mężczyzn, swachów i kniazia; ale zastaje wrota zamknięte, a za wrotami stare kobiety, niby przestraszone niespodzianym najazdem, wykrzykują: „gwaltu! rozbójnicy jadą!“ Książczyli jako parlamentarz umawia się z trzymającymi wrota, używając wymownego do zawarcia pokoju środka, — wódki. Wrota się otwierają; wtacza się na podwórkę czereda weselna, ale drzwi od chaty zastaje znowu zamknięte; co gorzej, złośliwe baby ustawiają w sieni stępe, sypią w nią sadze, leją wodę i trą to wszystko, odgrażając się poczernić pana młodego. Książczyli znowu przymuszony parlamentować z babami i ujmować je sobie wódką. Nareszcie, po długich naradach i zwadach, pan młody zostaje wpuszczony do chaty i z okrzykami radości posadzony przy stole. Na widok swego oblubienicy, panna młoda chce się wymknąć z chaty, ale ją łapią i sadzają przy piecu, a rozochoczone parobczaki zaczynają wysmiewać się z dziewcząt. Kobiety biorą panną młodą opierającą się i prowadzą przez ławki za stół; ta mdleje i pada na ziemię, a wśród tój sceny rozlega się śpiew żalostny dziewcząt.

Pani młoda, powstawszy nareszcie z ziemi, zaczyna się z wszystkimi kobietami całować i żegnać swe rówiecnice. Przybrana jej matka udaje się do komory, a za nią pośpieszają stare kobiety, niosąc z sobą masło, grzyby, len i t. d. Dziewoje, widząc zbliżający się czas utracenia nazawsze towarzyski, śpiewają jej niby na przestroję pieśń pożegnalną.

Drużba bierze do ręki miotłę i zaczyna wypędzać z chaty dziewczki, które z niego żartują w różny sposób. Zaśpiewawszy wreszcie na dobranoc pani młodej, rozchodzą się do domów; późem stare kobiety zaprowadzają panną młodą z zakrytymi oczyma do klecy. Tam zastawiają dla nowożeńców wieczerzę, a książczyli rozkazuje grać muzyce. Potem ścielą łóżko, kładą pod poduszkę bicz i topór, drużba przerzuca przez siebie pannę młodą i wszyscy odchodzą.

Na drugi dzień rano zbiera się znowu całe grono weselne powitać nowożeńców. Przy ubieraniu młoda żona podaje buty swojemu mężowi i stawia mu naczynie do mycia; matka zaś wkłada czepek na głowę panny młodej, który ona odrzuca od siebie. Kobiety ją wykradają, a pan młody szukać musi swój połowicy. Po znalezieniu, posyłają go po drzewo,

młoda zaś gospodynię po wodę. Potem zdejmują z czapki panu młodemu wieniec i przypinają go do czepka nowozamężnej; wkońcu zaś cała czereda weselna udaje się do karczmy, na oblanie szczęścia małżeńskiego. Gdzie jest dwór we wsi, prowadzą nowożeńców do dworu, po odbiór podarków i życzeń.

Taki jest, pochwycony w krótkości, główny rys obchodu weselnego na Polesiu. Dodać mi jeszcze tylko wypada, że w pierwszym tygodniu po ślubie panna młoda wolna jest od wszelkiej pracy, aby miała czas zastanowić się dobrze nad przyszłym pozyciem i nad obowiązkami małżeńskimi.

F. S.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Niemirowa na Podolu, 10 lutego 1863 r.

Gubernia podolska, jak wiecie, wielce się tém zaśluszyła, że najpierwsza ukończyła przedwstępne formalności emancypacji włościan, że przebyła wytrwale niedogodności nowej sukni, i dlatego też pierwsza cieszy się teraz błogiem tej pracy skutkami.

W stosunkach z włościanami już prawie nie mamy żadnych przykrości, gdy parę lat temu był to stan bardzo trudny do zniesienia. Każda wioska wyglądała na świeżo wzburzone mrowisko. Dziś już włościanie widocznie są spokojniejsi; nie okazują jawnej przychylności, ale też nie widać rozjątrzenia. Skutkiem potrzeby ciągłych układów w różnych kwestiach nowego urzędowania się, zawiązano swobodniejsze stosunki. Właściciel spuścił trochę z tonu, a włościanin pozbył się niewolniczej nieśmiałości, inwentarzowej bierności, gdyż swobodnie pytany o zdanie, robi się otwartym i skłonniejszym do układów, ufając więcej dobrem chęciom obywateli. Są wprawdzie rzadkie jeszcze wyjątki z ludzi liczących dotąd swe majątkości na dusze, z kilku paniczów, którzy są bardzo do brze, zarywających po francuzku nawet w stosunkach z włościanami, ale i ci już instynktownie układają się do koloru i chyba byś którego spoili, to się przyzna jak jest niekontent z dzisiejszych, jak mówi, *roman-sów*. Lecz oblicze ogółu piękne godnością, wewnętrznym zadowoleniem z chętnego spełniania czynu obywatelskiego.

Kwestya bezpośredniego uwłaszczenia włościan nie jest u nas dostatecznie wyrobioną, ale żyje i widocznie dojrzewa.

Przedstawiwszy wam pogodną stronę naszego społeczeństwa w najżywniejszej kwestyi, muszę przytoczyć kilka szczegółów, dosyć na obecne czasy charakterystycznych.

Gwałtowna potrzeba oświaty ludu jest u nas przekonaniem ogółu. Tak silnym stał się prąd tego uczucia, że nikt mu się oprzeć dziś nie zdoła. Gdzie tylko zajrzym, w najcichszych i najskrytszych kątkach, wszędzie się ucza, modlą i przezierają duchem Bożym. Mimo to wszakże niebrak i teraz chorowitych objawów.

Pewien młody człowiek, zagrzany ogólnym przykładem nauczania ludu, a chąc według swego widzenia rzeczy skuteczniej ich kształcić, złożył na stronie czytanie, katechizm i t. d., a zaczął sług swych od razu uczyć po francuzku, i na to kilka godzin czasu dziennie poświęcał. Kucharka czeladna, zmuszona, jak powiada, do uczenia się tej przekłętą francuzczyzny, porzuciła obowiązki i sławę cywilizacyjnych usiłowań swego pana rozniosła w okolicy.

Dowiedziałem się także ze ściśnionem sercem, że w majątku złożonym z licznej osady szlachty czynszowej, zebrał się najsędziwsi gospodarze w dniu Nowego roku, udając się do właściciela majątku z powinszowaniem i prośbą o pomoc, celem odnowienia zniszczonej kapliczki, której krzyże walają się w prochu, a ptastwo zlatujące na noc przez dziury w dachu plugawi ołtarz.

I cóż? obywatel ów, przejeżdżający się sześć-konnym, długo rozciągniętym cugiem, uciekł do swego gabinetu, wysyłając przez lokaja odpowiedź oczekującej szlachcie, że pan przyjmuje powinszowania od dzieci wiejskich i służby dworskiej, a nie od mieszkańców, i dlatego widzieć się z nimi nie chce.

Kiedym przejeżdżał przez miasteczko N..... zwrócił

moję uwagę bardzo wspaniałą pogrzebowy orszak możnego obywatela, którego zwłoki o mil kilkanaście sprowadzono do familijnego grobu. Zdziwił mię niezwykle liczny zjazd obywateli. Szlachta przybyła zapewne przez ciekawość, pół-panki i panowie przez uszanowanie dla pozostałych kapitałów. Dziele ich tu na dwa obozy, gdyż tak się sami ustawili w kościele, aby wspaniałe przybrany katafalk rozdzielał szlachtę cisnącą się u progu, od panów teatralnie pozujących przy samym ołtarzu. Nauczający to był obraz, w którym katafalk, śmierć i zniszczenie, pośredniczyły dzielącym się na kasty braciom. Nie brakło i na żyjących pośrednikach, przechodzących od jednej strony do drugiej; ale tym, jak zawsze niezręcznym pośrednikom, i tu nienajlepiej się wiodło, bo oba oddziały nie przekraczały raz oznaczonych granic: panowie przy ołtarzu, szlachta u progu, a Bóg daleko. Tu wstąpił na ambonę umówiony z odległej okolicy kaznodzieja. Zapalał się na zimno; pytał słuchaczy czy wiedzą co znaczyło *civis Romanorum*? Podnosił nas aż do szczytów Niesieckiego, a wyliczając najznakomitsze w kraju rodziny, niby od niechcenia i o swojej coś wspominał, i to wszystko w kościele, w obec ukrzyżowanego Chrystusa, który krwią męczeńską i cierniową koroną innej prawdzie dał świadectwo.

W kazaniu tém dużo było wymowy, pięknych stylowych zwrotów, ale nie było świętego zapału, tylko zimne wyrachowanie, ściśle obliczenie się. Pogrzeb, jak mi mówiono, kosztował przeszło 60,000 złp.

Wysliśmy z kościoła nierozczuleni ani zbudowani przemową, w której wyraźnie czuć się dało uwzględnienie wszystkich słabostek, próżności, nawet i nieporozumień rodzinnych.

Znowu złe użyte pieniądze w kraju pełnym sierot, biednego ludu, szlachty czynszowej bez środków i sposobów do moralnego dźwignięcia się, któremi dogodzono próżności tylko i dumie,

Sulima.

ZAMEK W SANOKU.

Dawny zamek sanocki, dzisiaj na c. k. urząd obwodowy przemieniony, leży na wyniosłej skale nad rzeką Sanem, a panuje nad obszerną, sławną z swęj piękności okolicą. Po pod skałą, na której nagie tu i owdzie ściany i ułamki dawnych murów warownych sterczą i bieleją ze środka krzaków i traw zielonych, płyną bystre fale Sanu, tej rzeki, która zda się w biegu swoim wybiera umyślnie najpiękniejsze okolice, do najmałowniejszych brzegów przypiera zmienne i kapryśne łożysko swoje. Daleko w błękitie nieba niękając granicę krajobrazu stanowią góry rozmaitej wielkości i rozmaitego kształtu, ubrane w wiecznie świeżącą szatę lasów jodlowych, a tuż po za rzeką, która w rozmaitym wijąc się kierunku, to niknie, to znowu zdała zabłyśnie, nad zielonemi jej brzegami porośpywane są jasne łąki, ciemniejsze gaje i wiejskie osady, z pomiędzy których najbliższa naprzeciw oknom zamkowym leżąca wieś Olchowce bieleje porządniejszymi budynkami. To jest część plastyczna tego obrazku, któremu ani rylec, ani pióro podobać nie mogą; lecz ileż jeszcze więcej obraz ten cały nabierze znaczenia, gdy oko patrzącego wróci nazad na kamienne ściany starego zamku, a myśl pięknością przyrody rozbudzona, bując znacznie po przeszłości i wydobędzie z pamięci tyle wspomnień dziejowych przykrytych do tej starożytnej siedziby, w której przed laty, przed wieki ważniejsze przemknęły zdarzenia.

Był to, jak wiemy z dziejów naszych, zamek bardzo warowny, a ważny położeniem swojem z natury już obronnym i bliskością nieprzyjacielskich granic. W dawnych lustracjach czytamy, że miał bramy murowane a potężne, wiele pokoi na dole i na górze, a spodem ogromne sklepy, w których chowano akta grodzkie, ziemskie i podkomorskie. Zamek ten, z czasów ruskich powstały jeszcze, przebudował i warowniejszym uczynił Kazimir Wielki, który w nim r. 1366 gościł czas niejaki. Lecz najważniejszą zamku tego pamiątką jest pobyt w nim Jagielly w r. 1417, który tu panom radnym oznajmił zamiar pojęcia za żonę Elżbiety Granowskiej; jakoż 2 maja tegoż roku dawał im ślub Jan Rzeszowski arcybiskup łowski, w kościele farnym, a gdy weselne odbywały się w zamku. Dziejopisowie nasi surowo powstają na to małżeństwo; Bielski mianowicie tak się wyraża: „Król, co miał nieprzyjaciela gonić, to wolał tymczasem weselić się w Sanoku; aby jeszcze był

młoda pojął, ale babę, Elżbietę córę Ottona z Pilic, wojewody sandomierskiego, którą przedtem uniósł jeden Morawczyk, a potem mu ją drugi wydarł, potem zaś była za Granowskim kasztelanem nakielskim. Taż królowi niewiedzieć z czego się podobała, bo już stara była, a wyschła od suchot.“

Tu przebywała jakiś czas Izabella małżonka Jana z Zapola króla węgierskiego, zagnana wraz z synem Janem Zygmuntem, szukać schronienia w Polsce, dostawszy od brata Zygmunta Augusta kilka grodów na swe utrzymanie, a między niemi Sanok. W późniejszych czasach był ten zamek widownią smutnego wydarzenia; w czasie bowiem sądów grodzkich odbywających się w dzień nawrócenia św. Pawła, powstał popłoch przypadkowy w grodzkiej kancelarii, a gdy sprzeczkających się chciał Zaluski kuchmistrz koronny rozbroić, został przez nich zabity.

(Z ok. Gal.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Porządni ludzie, komedia J. Chęcińskiego.

W dziwnym położeniu znajduje się obecnie poezya dramatyczna w ogóle, a szczególniej jej kształt połowiczny,—komedia. Pisanie komedyi jest rodzajem połowiania. Autor na rumaku poczciwego natchnienia wyjeżdża na społeczne pole, szczerzając bliźnich za pomocą chartów, które zwą się śmiechem, żartobliwością, szyderstwem. Owóz ani rumak, ani charty dopisać dziś nie mogą. Społeczne pole nasze jest, jak niemieckie gospodarstwo, ogrodzone, poprzerynane fossami, oparkanione i na każdym kroku stawia przeszkody i zawady. Jedne żywiły, aby nie stać się treścią komedyi, ulokowały się jakby w jakimś towarzystwie zabezpieczenia od pożaru śmieśności i od gradobicia szyderstwa; drugie znowu tak są wyszydzane i deptane w życiu, iż biedna komedia wygląda w pierwszym razie jak Tantal, niemogący ukończyć pragnienia, w drugim, jak musztarda po obiedzie, gdyż opinia zabija codzień to, z czego komedia dopiero śmiać się zabiera. Ta nietykalność pewnych typów, to obłocone innych znowu, powściąga rękę komedyi, bo ją w pierwszym razie postradać może, a w drugim zabrukać. Wielkie to zapewne przeszkody dla komedyo-pisarzy, nie wyczerpują jednakże zapor i tam, przegradzających im drogę. Długie lata udawań, spowodowały w społeczeństwie przerażenie na widok prawdy, wstręt ku niej, strach wypowiedzenia ostatniego słowa; a że komedia, przy najsłabszej nawet pretenzji do zalet i sławy, musi być prawdą, odwagą i jasnością wyraża, więc naturalnie zostaje pod zaklęciem społecznym, a autor zawsze za szkodliwego czleka uchodzi.

Musimy więc wziąć na uwagę, w jak niekorzystnych warunkach pan Chęciński wyprowadził na świat swoich *Porządnych ludzi*. Trudność ta przelamana, acz niezupełnie, dowodzi siły talentu, której mu odmówić wcale nie można, tém bardziej że rozwój talentu p. Chęcińskiego w najsympatyczniejszym dla nas odbywa się kierunku. Z czém autor *Szlachectwa duszy* stanął przed publicznością ziomków, przy pierwszym swém wystąpieniu, tak serdecznie i zaszczytnie ocenionem, nie odrzucił tego wprowadzając *Porządnych ludzi*. Sympatyczność talentu p. Chęcińskiego, nadzieje które logiczny rozwój jego obudza w tych dniach popielatęj literatury, leżą całe w śmiałości z jaką czerpie natchnienie z naszego życia, z życia, że się tak wyrazimy, żywego. P. Chęciński i w *Szlachectwie duszy*, i w *Porządnych ludziach*, chociaż wybitniej w pierwszym niż w drugim, dowiódł iż należy do grona autorów naszych, którzy od pewnego czasu zrozumieli, że najświętsza treść, najżywniejsze natchnienie znajdują się tylko i leżą w życiu rodzinnym, w jego zadaniach religijnych, moralnych, społecznych, a nawet w jego interesach materyalnych. Nie chcemy utrzymywać, aby komedia p. Chęcińskiego „*Porządni ludzie*“ wyczerpywała choć jedno z tych zadań, albo je stawiała w całkowitem świetle; chcemy tylko powiedzieć, iż dość w niej znajduje się wskazówek, pozwalających zakwalifikować kierunek talentu p. Chęcińskiego. Widocznem jest, iż droga po której iść zamierzył jest ta, na której przystoi znajdować się każdemu z piszących, nie bacząc na formę w której myśl swoje objawia. Na innej drodze, choćby na szczytnych szlakach bezwzględności psychologicznych, poezya i piśmiennictwo staną się językiem uczonych, zatem martwym, gdy przeciw poezya osobliwie, pod karą samobójstwa, musi być językiem żywych i wszystkich. Stronicy sztuki dla sztuki, bał-

wochwalce sztuki idealnej, sieją próżne trwogi, że poezja zniży się i znedźnieje w dotknięciu z codziennym życiem narodu. Przeciwnie, ona jedna to życie powszednie podnosi i wypogadza.

Starożytna sztuka nigdy nie rozwoziła poezji z życiem, idei z materią, duszy z ciałem, bogów z ludźmi; przecież nikt nie utrzymuje iżby ta sztuka nie stała na niebotycznych wysokościach. Dziś tylko w wyjątkowych chwilach dorastamy, my nowożytni, do jej szczytów. Jeżeli upadek sztuki zaczyna się z omdlewaniem poczucia ideału, to widocznie dopełnia się to przez wyrafinowanie kosmopolitycznej bezwzględności. Poezja, jak wszystko Boże, musi się unieśmiertelnić; a żyje tylko to, co płynie ze źródeł własnego istnienia i co technicznie technieniem swego czasu i swęj ziemi.

P. Chęciński zdaje się kierować temi zasadami w formie dramatycznej poezji. W *Szlachectwie duszy* tak to było widoczne i dotykane, iż uderzało nowością. Społeczeństwo w owych czasach każdy akt życia stawiało oddzielnie, egoistycznie tylko, a w chwilach zapалу podnieść się tylko do kastowości umiało, w materialnym względzie wyglądając byle zysku, w idealnym pożądanym li oderwania się od życia i upajając się rozmazgajonem marzeniem. W *Porządnym ludziach* mnięj są wybitne niż w *Szlachectwie duszy* te cechy dzisiejszości; istnieją wszakże i tylko dlatego

może tracić na sile, że komedia cała, jej treść, jej jedność, nie dorastają do treści i do jedności życiowej. To jest jeden z zarzutów jaki pozwalamy sobie uczynić komedii p. Chęcińskiego; aczkolwiek uwzględniamy wszystko co mogłoby uniewinnić autora w tém,

zas nie dotyka tak pospolitych zbrodni. Jakkolwiek wiemy że podobne czyny, jakie popełnił *Eadziński*, mają swe tłumaczenie w języku doktrynerów światowej ucziwości, zawsze jednak w innej formie powinny być być dopełnione. Taka brutalna forma przywłaszczenia sobie cudzej własności, dlatego że brutalna i tępym samym mająca w sobie zarody wyjścia na jaw, jużby potępiona została przez samych nawet doktrynerów, którzy na delikatne szalbierstwa i gładkie oszustwa zawsze cnotliwego wyrazu dobrać umieją. Taki więc *Antoni Eadziński* nie znalazłby pobłażania u nich. *Makówka* znów jest tylko chciwy. Sądząc światowie, jest to nieledwie cnotą, a i dziś jeszcze, pomimo zmiany wyobrażeń, trudnoby było znaleźć ludzi, którzyby wyrzekli: „winien jest sądu!“ Nie wiemy czy z umysłu, czy pochłonięty wyższością typu *Eadzińskiego*, autor uczynił *Makówkę* tak głupim, iż takiemu człowiekowi prawie wszystko się przebacza. Jako „porządnym ludziem“ w znaczeniu satyrycznym, oba te typy nieodpowiednie są nawet na wczoraj; dziś zupełnie znaczenia nie mają. Przypuściwszy że fałsz języka dłużej



ZAMEK W SANOKU. (Rysował na drzewie Kostrzewski).

że jego literacką pracę wyprzedziło życie. Wypowiedzamy ten zarzut śmiało, tęp śmielej, żeśmy już oznaczyli całą dodatność talentu p. Chęcińskiego i zapisali ją, mówiąc o kierunku jego ducha, kierunku obowiązkowym prawie dla polskich pisarzy, a jednak i dziś jeszcze nieprzyjętym powszechnie.

Po za obrobami tej rodzimój powinności, która przedewszystkiem stać powinna w duszy artystów naszych, przychodzi w drugim rzędzie wymagania sztuki, smaku, sceny, stylu, ważne o tyle, o ile każda forma stosownie do myśli dobrana podnosi treść dzieła i zamiary twórcy uwydatnia. Na tęp polu p. Chęciński z niewielką zarzutami spotkać się może, a poważne uznanie od krytyki otrzymać powinien. Jednak od autora *Szlachectwa duszy* krytyka ma prawo wiele wymagać i wymagania te wypowiedzieć wyraźnie; autor zaś ma obowiązek je zadowolić, gdyż, jak dawniej urodzenie, dziś, dzięki Bogu, talent i inteligencya już obowiązują.

Satyryczność napisu tytułowego „*Porządni ludzie*“ dowodzi w autorze śmiałego poglądu na społeczeństwo nasze i na nadużycia których się dopuszcza, przyklejając zaszczytne miano, do ludzi i rzeczy wcale niezaszczytnych. Słyszeliśmy nieraz, jak nazywano porządnymi ludźmi tych, którzy nie rozmijali się z prawem, przynajmniej jawnie, a o prawości zatracili pojęcie. Słyszeliśmy jak każdą bierność na chrzcie salonnym zwano czynnością, i widzieliśmy na dziełach niemocy, zaspania, a nieraz i gładkiej nikiemności, pompatyczny podpis: *fecit rozsądek*. Na wstecz więc tylko poglądnąc, intencya satyryczna p. Chęcińskiego, wyrażona w tytule, silna ma znaczenie. Nie każdy talent stoi w jednej linii z życiem, a wybrani tylko i namaszczeni przodem iść potrafią; tacy zaś na jednostki się liczą. Sądzimy jednak iż talent p. Chęcińskiego ma prawo do stania na równi z życiem, a jeżeli go nie ma, to zdobyć je sobie może, bo ma po temu siłę. Pozwalamy więc sobie żalować że, dając tytuł pełen sarkazmu, p. Chęciński inaczej nie zarysował postaci mających ten tytuł usprawiedliwić.

Antoni Eadziński i *Makówka*, typy porządnym ludzi według p. Chęcińskiego, na dziś wcale nie odpowiadają swemu zadaniu; wczoraj nawet popadali by w podejrzanie niewiarogodności. *Antoni Eadziński*, mówiąc słowem bez bawelny, jest po prostu złodziejem; czyn jego należy do sądownictwa kryminalnego; komedia

zostaje żywym ni fałsz obyczajaju, że i dziś jeszcze w pewnych sferach nazywają „porządnymi ludźmi“ pewne osobistości zasługujące w opinii na pogardę; toż przecież złodziejstwo i chciwa głupota mniej czynią zła

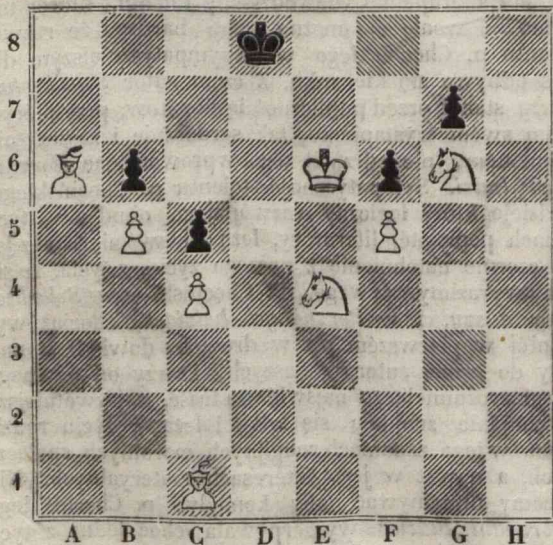
(Ob. dod.)

SZACHY.

ZADANIE CXLIV.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 143.

Białe.

Czarne.

- | | |
|------------------------|-------------------|
| 1) F5 — C8 † | 1) C7 — C8 biorą. |
| 2) H5 — F6 † | 2) E8 — D8. |
| 3) C5 — B7 † i mat. | |
- albo:
- | | |
|------------------------|--------------------|
| 1) F5 — C8 † | 1) F7 — D8. |
| 2) B4 — G6 † | 2) A2 albo C7 — F7 |
| 3) H5 — F6 † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 178. *Młodzież przytkada się do nauk dla pożytku wszelkich stanów, bo praca tylko prowadzi do celu.*

Zagadka ukryta w szachownicy w Nrze 178 brzmi jak następuje:

Wprost przedmiot dla wszystkich niemiły,
Wspak trunek szkodliwy z swęj siły.
(Znaczenie: kara, arak.)

Dodatek.)

niż inne wady, które pod kategorią nikczemności, nazywanej *porządną*, podciągnąć można. W dobrze urządzonych społeczeństwach, żyjących własnym a nie skrzywionym życiem, takie niecnoty jak *Antoni Ładziński* i *Makówka*, nazwane i miane za *porządných ludzi*, mogą oburzać i dawać biec w ręce komedii. Gdzie zaś ważniejsze są troski, tam złodziejstwo i chciwość, nazwane po imieniu czy przechrzczone fałszersko w przyzwoitą formę, powszednim zaiste mianowane być mogą grzechem. Ważniejsze są usterki, spełniane jawnie i śmiało, a zasługujące na piętno przynajmniej komedii. Lecz nawet nie tak surowo patrząc na koleje życia, jeszcze można postawić zasadę ogólną: *porządnym człowiekiem* nazywają doktrynerowie w języku naszym tego, który wszelkie akty życia, zaczynając od picia herbaty, a kończąc na małych nikczemnościach, robi *porządnie*, to jest z wyrachowaniem, którego ostatnim wyrazem jest *nieodpowiedzialność*. Ciekawym zadaniem byłoby z życia takiego człowieka, lub z momentu tego życia, wysnuć komedię, której bohaterem nietyle byłby ów nazwany „porządnym” człowiek, ile społeczeństwo umiejące tak nazywać ludzi, byle tylko ostrą opinią i spełnieniem obowiązków przez nią nałożonych nie zawichrzył sobie spokoju i używania darów Bożych.

Nie możemy narzucać autorowi tej treści, ani mieć pretensji do niego, iż nie wziął jej za tło do swego obrazu: stawimy tylko położenie, jakie wypływało z tytułu użytego przez autora. Nie przeczyliśmy nawet że w zamiarach p. Chęcińskiego znajduje się niejedna strona tego typu który staraliśmy się określić; ale wykonanie niezawsze odpowiada tym zamiarom.

Czémże może być życie takiego *porządnego człowieka*, jakiego nam autor postawił przed oczyma? Obszerny to przedmiot i wart opracowania. P. Chęciński, z konieczności komedyo-pisarza, wziął tylko jeden moment takiego życia, zostawiając jego przyszłość i przeszłość do wyjaśnienia, za pomocą logicznych związków, samemu czytelnikowi czy słuchaczowi. Moment obrany przez p. Chęcińskiego, jest moment interesu pieniężnego. Jakkolwiek jeden nasz krytyk utrzymywał kiedyś w Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych, że *pieniądze* są najżywniejszym przedmiotem i stanowią najwyższą dramatyczność intrygi powieściowej, nie godzimy się na to zdanie i znajdujemy że autor „*Porządných ludzi*” postawił moment bardzo słaby. Jeśli uczynił to: rozmyślnie, zarzuciłbyśmy mu iż nie wierzy w swój talent, który, według nas, mógłby poddać zadaniom trochę bliżej serca naszego leżącym, niż głupia chciwość lub pospolite złodziejstwo, gdy te nie są pokryte nawet celami materialnego rozwoju kraju, postawionego przez niektórych za alfę i omegę zbawienia. Dlatego z tytułu i dwóch typów go wyobrażających, tylko tytuł pozostał sarkazmem: typy z tytułem nie harmonizują.

Dodatnie osobistości komedii nierównie lepiej jednostkowo występują; w całości zaś niszczą zupełnie pojęcie, jakie komedia w umyśle wywołuje zwykle. Osoby te oddzielnie, co do doskonałości swęj wewnętrznej i tworzących je zarysów, stoją w porządku równego szeregu zwykłych charakterów. Jedna tylko Adela, panna letnia, siostra Antoniego Ładzińskiego, daleko wyżej od wszystkich postawiona, skupia na sobie całą uwagę słuchacza, widza lub czytelnika, żywością umysłu z jaką życie swoje pędzi. Gustaw, adwokat, najwyżej moralnie podniesiony, syn czczący pamięć ojca ofiarą pracowitego życia, przyjaciel wierny, prawnik zany, ale nadto może pobłażliwy, zacięra tą cnotą przesadzoną dodatnie wrażenie, które przeznaczony był wyrzucić. W położeniu Gustawa, gdy z jednej strony stoi wierutny złodziej, którego zbrodnia na pamięci Gustawowego ojca ciąży, a z drugiej rehabilitacja publiczna tej pamięci i ukaranie fałszera, on syn, on prawnik, on człowiek, woli to jakoś gładko uczynić, cicho, bez rozgłosu. Zdaje się jakoby sądził, że w jego tylko umyśle było podejrzenie winy ojca, że zatarcie tej winy w jego duszy, wystarczy ceniom uczciwego człowieka, językiem ludzkim szarpanych. Jest to trochę niepojęty charakter; spierać się wszakże o niego nie będziemy z autorem, gdy nas pociąga zresztą piękna, na poczciwej tradycji rozwiniętą duszą. Celina, córka Antoniego; Edward malarz, są to pół cienie, pół światła, i autor z namysłem widocznym a wielką trafnością malował tu tło większości naszego społeczeństwa, wyobrażone przez te dwa półcharaktery. Bolesław, synowiec Antoniego, bezinteresowny z natury, pobłażliwy aby nie mieć przyczyny gniewania się, typ także dość pospolity, może stać zaraz po Gustawie adwokacie, budząc sympatią zapomnieniem o sobie dla innych; bo bezinteresowność, nawet z fizycznej natury wypływająca, jeszcze pięknie wygląda. Nie mówimy o Wojciechu służącym, który nam udatnie przypomina wszelkich służących, jakich nasza polska scena wy-

tworzyła z życia, a których typ zupełnie już nie istnieje. Tak stojące oddzielnie osobistości dodatnie komedii p. Chęcińskiego, zebrane w grupę, zestawione w życiu, z jego zadaniami zetknięte, znajdują się uczciwie, sympatycznie, dowcipnie często, ale ostatecznie?.... smutno widzieć rozsądną i miłą siostrę, która ma brata złodzieja; córkę, która ma ojca złodzieja; narzeczonego, który żeni się z córką złodzieja; brata, którego brat złodziej; adwokata, który ochrania swego klienta, będącego złodziejem, a posądzenie kradzieży zostawia na pamięci uczciwego człowieka, co więcej, ojca własnego. I wszyscy którzy zetknęli się w życiu z owym złodziejem, wszyscy szczęśliwi, jak gdyby zbrodnia nie wydzielala z siebie atmosfery, w której blizkie jej istoty, choć niewinne nawet, wiedząc i cierpieć muszą. Naturalnie że przychodzi pytanie, z jakimi zasadami wszyscy ci ludzie przebiegają życia drogę? Jeżeli wierzyć ich słowom, to adwokat mówi do zbrodniarza, ale w trzeciej osobie, zapewne żeby nie skompromitować poważnego człowieka:

„Te pieniądze zatrzymał jeden z owych ludzi, których czart spisał listę, a których na ziemi Łatwowieśni mieszają z ludźmi porządnymi, Dając bez przekonania to uczciwe miano. Są oni ową miedzią lśniącą, pozłacaną, którą złotem zwie tylko niewinny błuznierca, Co o kamieniu probierczy nie potarł jej serca!”

I to jest cała zemsta syna, który kilka lat czuł jak potwarz ciążyła na pamięci jego ojca.

Nie opowiadamy treści sztuki, bo szkielet pięknie odziany w dziele, rozebrany zupełnie, razi tylko, a nie nic powiada. Autor „*Porządných ludzi*” napróżno wzmógł w osobistości które wprowadził w rzecz komedii, dodatnie potęgi: komedia ta ujemną tylko stronę życia okazuje. Czy sprawiedliwie, jest to inne pytanie. Nim na nie odpowiemy, a raczej odpowiadając na nie, musimy przyznać autorowi, że bardzo umiejętnie przedstawił pewną grupę społeczną, wziętą z życia, w którym nieraz spotyka się takie grono ludzi. Ani jednego w nich niema całego pojęcia: wszystko w sztukach, kawałkach, odłamach, pozionych dziwnie i niezrozumiale. Jest to jak Bożą ręką ułożona mozaika pełnego i godnego życia ludzkiego, z której mnóstwo kostek, w latach zepsucia, zaspiania moralnego, zatracenia wszelkiego uczucia, szatan świętokradzką ręką powymywał, nie nie zostawiając na odartym miejscu. Dla sztuki jednak, a o obliwie dla sztuki zespalać się z życiem narodowym, jaką jest sztuka p. Chęcińskiego, życzyby wypadalo, aby autor, nie mogąc odszukać w życiu ideałów, tworzył je myślą zbawienną i skierowaną do ugodnienia społeczeństwa dla którego żyje. Tymczasem w obec tak niejasnych, połamanych i niecałkowitych dodatnich typów, znajdujemy w komedii p. Chęcińskiego jasny i wyraźny typ ujemny. Zapewne nagotą swą i skara da robi on wrażenie wstrętu, a wstręt nie budzi po ciągu; lecz zdawałoby się nam iż ten wstręt, który widzi i czytelnik doznają, osoby bliżej stojące, przykute na łańcuchu życia do zbrodniarza, uczuwać byłyby powinny silniej jeszcze i to uczucie wyrazić. Właśnie tego nie znajdujemy, i to jest grzechem autora komedii przeciwko prawdzie, istniejącej choćby w najpobłaźliwszych sercach ludzkich. Nie chcemy się wszakże nadto klócić z autorem, gdy tyle miejsc serdecznie pocztuch, choć wziętych z najdrobniejszej strony życia, w komedii jego znajdujemy.

O ile sędzić można w czytaniu, „*Porządni ludzie*” odpowiadają doskonale wymaganiom sceny i przy bardzo wydatnej grze artystów, którzyby potrafili wykazać uczucia duszy, pokryte nieśmiało wyrzeczeniem słowami, przepowiadamy im wielkie powodzenie. Ruch w całej komedii jest dostateczny. Zapisujemy tu wszakże jedną uwagę, że ruchliwość i ucinowość dialogu niezawsze ruch akcyi wyraża; a zdawało się nam, że autor, zanadto przejęty przekonaniem o konieczności ruchu, sztucznie stara się go wywoływać rozmową ciągle przerywaną, a nie mającą wszakże przyczyn takiej urywkowości. Na poparcie tego zdania, zwracamy uwagę autora na scenę pierwszą, otwierającą komedię, między Makówką i Wojciechem.

Język wszędzie poprawny, styl potoczysty; cechą jego serdeczność. Na całym utworze widać sumienne studia; grzeszą one tem tylko, iż widocznie odbywały się więcej na typach utworzonych przez piśmiennictwo (jak np. służący Wojciech), niż na żywych ludziach. Korzystniej daleko dla artysty podслуchać jedno uderzenie żywego serca, niż przerzucić sto tomów drukowanych uczuć i osób.

Na zakończenie, aby zakończyć uznaniem, jakeśmy zaczęli i jak mamy rozumienie o talencie p. Chęciń-

skiego, musimy wyznać że autor wziął właśnie to z życia, ku ujęciu czego nie znalazł zaważ, że typy jego postawione są w możebnych warunkach chwili obecnej. Ale takie postacie pospolite i blade nadają się daleko lepiej do powieści, w której autor w szczególności może, a resztę ustępami swych pojęć zapelniać, mając jeszcze i naturę w swém ręku, zawsze świeżą, wonną, żywą, niepokalaną. Może w tem leży cała tajemnica wyższości terażniejszego powieściopisarstwa naszego nad utworami dramatycznymi. Oddawna już u nas autorowie dramatyczni, jeżeli pragną jaskrawy typ postawić, muszą go wyszukiwać w ubiegłej przeszłości, cokolwiek zaś brali z dni dzisiejszych, wszystko zazwyczaj, prócz małych wyjątków, było słabe, bezbarwne, bez energii. Powołamy się tu na znakomitego naszego dramaturga J. Korzeniowskiego, któremu nikt nie odmówi ani olbrzymiego talentu odtwarzania typów, ani umiejętności w ich doborze, a zacytujemy tylko jedną z ostatnich prac jego, komedię: „*Majątek albo imię*.” Bohaterowie i bohaterki tej komedii, są to z konieczności albo artyści biurokratyczni, albo biurokraci artystyczni, albo niewinna panienska, dążąca a un *mariage d'impatience*, bawiąca się w sakrament małżeństwa, jak się bawi w gry niewinne, np. w *sąsiada*. Postacie dodatnie, dzielne, zawsze żywe, zawsze sympatyczne, są to postacie z lat ubiegłych. Nawet postać ujemna, ale także sympatyczna skutkiem namaszczenia talentu, hr. Janusz, jest postacią z przeszłości, niepodobną do dzisiejszych hrabiów, z którychby niejedyn zapłacił za to, by mógł dorównać acz zepsutemu hr. Januszowi, odtworzonemu z dawniejszych czasów przez p. J. Korzeniowskiego. Jesteśmy przekonani, że jeżeliby kto założył pensją dla kształcenia tak udatnych Januszów, miałby straszliwie liczną i zamożną klientelę. Dzisiejszy komedyo-pisarz, gdy obecną, najbardziej płaską, najbardziej powszednią wadę zechce wystawić publicznie, nie śmie, a raczej nie może złapać jej za kohnierz przechodzącej przed nim, żywej, lecz musi szukać podobizn w tem co przeszło i *per analogiam* śmiać się z terażniejszości, albo ją uczyć. Niesprawiedliwie więc wyrzucalibyśmy p. Chęcińskiemu, że na rysy „*Porządných ludzi*” użył nie ryłca który piętnuje, a ołówka pobłażliwego. Nie widzimy w tem braku odwagi, lecz niepodobieństwo.

A. N. K.

PRAWA KOBIEĆ DO NAUKI.

(Odpowiedź na artykuł p. Nowosielskiego „O przeznaczeniu i zawodzie kobiety”, zamieszczony w Nrze 166 Tygodnika Ilustrowanego.) (*)

Ilekróć w społeczeństwie podniesioną zostanie jaka kwestya dążąca do przeobrażenia istniejącego dotychczas zwyczajów, zjawiają się zaraz rozmowowania za i przeciw użyteczności zmiany, dopóki nie starcia się różnych opinii, nie wyniknie jasne pojęcie przedmiotu i uszykowanie podług niego wyobrażeń ludzkich.

Od dawien dawna, bo jeszcze w epoce, w której Włochy przyswiewały Europie światłem swych uniwersytetów, nauka stała otworem dla wszystkich; nie wyłączano ani płci, ani żadnej narodowości; każdy wiek posiadał właściwe sobie sposoby zaczerpnięcia ze skarbnicy wiedzy. Garnęli się wtedy do pracy Włosi i cudzoziemcy, mężczyźni i kobiety, a nawet katedry uniwersyteckie przystępnymi były dla wszystkich zdolności, nie bacząc na płeć. Zwyczaj ten poszedł w niepamięć i po kilku wiekach w ucywilizowanej Europie zadano sobie pytanie: „czy kobieta uczyć się może i powinna, czy kobietę należy przypuścić do słuchania kursów uniwersyteckich, i nakoniec czy kobiety mogą pozyskiwać stopnie naukowe?” Pytania te łatwo byłoby rozwiązać, gdyby przypomnianno sobie, że w obecnym stuleciu szybki postęp oświaty nie pozwala nikomu zalegać pola, aby nie stawać zaważ w ogólnym ruchu; że dla słuchania uniwersyteckich wykładow, trzeba dać dowód, iż umie się to co wykładają w niższych i średnich zakładach naukowych; nakoniec gdyby pamiętano, że ma prawo otrzymać stopień naukowy każdy człowiek, posiadający dostateczne naukowe kwalifikacje. Nie czynionoby wtedy z nauki rodzaju przywileju, a raczej monopolu, z którego korzystać może tylko męzka pólowa rodu ludzkiego. Bądź co bądź, sprawa Angielki jeszcze nierozstrzygnięta; ale na północno-wschodnim krańcu Europy, w uniwersytetach rosyjskich, pozwolono kobietom kształcić się na równi z mężczyznami, o czém Kurjer Wileński podał do wiadomości

(*) Redakcyja Tygodnika Ilustrowanego chętnie w tym przedmiocie otwiera szranki ściągającym się zdaniom, zachowując sobie, po wyczerpaniu rozpraw, objawienie własnego przekonania.

powszechniej, jako o fakcie mającym ważny wpływ na rozwój tamecznego społeczeństwa.

Niepodobna niepodzielać zdania autora artykułu Kurjera Wileńskiego, w przeciwnym bowiem razie trzeba by nieprzynajmniej wpływu cywilizacji na dobrobyt społeczeństwa, trzeba by odmówić zasługi ludziom szerzącym oświatę i zaprzeczyć że ta ostatnia wyrwa człowieka ze zwierzęcości i daje mu prawo obywatelstwa społecznego.

W Nr. 466 Tygodnik Ilustrowany z r. 1862 zamieścił artykuł p. Nowosielskiego, któremu autor nadał tytuł: „O przeznaczeniu i zawodzie kobiety“, podnosząc go tym sposobem do godności rozprawy naukowej. Mniemam że bezstronność redakcyi pozwoli mi poczynić nad nim niektóre uwagi i przy tej sposobności wypowiedzieć kilka własnych myśli o tak ważnej kwestyi.

Jest to zdanie prawie powszechnie dziś powtarzane, a przez p. N. również przyjęte, że kobieta żyje sercem, bo podług niego dusza ludzka ma się wyrażać w dwóch przeciwnych biegunach, w myśli i uczuciu, w głowie i sercu, i gdy jeden biegun (!) duszy, należy się mężczyźnie, drugi kobiecie zostaje. Pominąwszy wyrażenie o biegunach duszy, potrzebujące tłumaczenia, przychodzimy do owego oklepanego ogólnika: że kształcąc mężczyznę, trzeba rozwijać jego umysł i że przeciwnie wychowanie kobiety powinno być zwrócone ku wykształceniu serca, czyli uczucia, a sfera umysłowa może pozostać odlegiem.

Przypuściwszy na chwilę słuszność takiego poglądu na sprawę tyle ważną, zachodzi pytanie jakim sposobem kształcić serce, czyli uczucie? Wyraz serce, użyty w przenośni zamiast uczucia, sprawił chaos nie do opisania; zapomniano się zastanowić gdzie jest siedlisko tej władzy duszy którą uczuciem zwiemy i wyrzeczono: w sercu!... i to miało wystarczać.

Siedlisko uczucia nie ma miejsca w samym sercu, ale w jego motorze, to jest w nerwie sympatycznym. Wychodząc z tej zasady, wnosić należy, że chcąc działać na uczucie, trzeba uregulować czynność nerwu sympatycznego. Jakimże więc sposobem należy kształcić kobietę? Jedni, utrzymując że trzeba rozbudzać uczucie, drażnią nerwy; drudzy wołają: kształćmy uczucie, to jest uregulujmy je, nauczmy niemię władać, nauczmy powściągać je, gdy zbyt mocno rozdrażnione; podnosić, gdy przytępione. Zwolennicy pierwszego zdania gorzko opłacili swoje metody pedagogiczną, a potoki spazmów, neuralgie i neurozy zalały ludzką szeroko. Lepiej więc trzymać się rady ostatnich, to jest kształcić uczucie. Zadanie to nie będzie trudne do rozwiązania, skoro przypomniemy sobie, że źródło uczucia w nerwie sympatycznym ma niezaprzeczenie swoje siedlisko, ten zaś ostatni bierze początek z mózgu.

Na czynność nerwu sympatycznego wpływa czynność mózgu, wpływa myśl; ta ostatnia pobudza do czynności komórki istoty szarej, która cały mózg otacza. (1) Uczucie więc zależy od rozwoju myśli, myśl uczy nas niemię władać. Człowiek rozumny potrafi powściągnąć swe namiętności, miłość swą zdoła obrócić na to, co prawdziwie piękne i szlachetne, a brzydzić się będzie tem, co istotnie na wstret zasługuje. Chcąc przeto kształcić kobiety, chcąc rozwinąć ich uczucie, należy przedewszystkiem nauczyć je myśleć. Istota przeznaczona na żonę, matkę i obywatelkę, rozumieć powinna jakie są jej obowiązki, a ocenić je może wyłącznie istota myśląca, rozumna; że zaś myśl kształci tylko nauka, uczyć więc trzeba kobiety.

Natura jest naszą nauczycielką; ona nam pokazuje, że to co matka w serce dziecka wpoi, pozostaje mu najdłużej w pamięci, świeci jasną prawdą pośród drogi życia. Matka zatem powinna być zdolną wykształcić krajowi obywateli; w synach swych ma poprawić błędy i usterki ojców; ona powinna być odpowiedzialną za pomyślność kraju, a naród co takie matki posiadać będzie, oprze się złym przydomom potęgą zasad synów swoich, bo każdy z nich podąży ku prawdzie i cnocie.

Do porządnego rozumowania o przedmiotach z którymi ciągle jest w zetknięciu kobieta, nie wystarczy elementarna nauka; z potrzeby zatem zdrowego poglądu na rzeczy, należy odkryć jej całkowity obszar wiedzy. Tym sposobem dwie naraz otrzymamy korzyści: kobiety będą takimi, jakimi być powinny, i pozbedziemy się półmądrych, którym zdaje się że ro-

zum i nauka polegają na przeczytaniu kilku poważniejszej treści książek. Jeśli znajdą się tyle wytrwałe, że się nie zrażą trudami głębszej nauki, przybędzie krajowi kilka ukształconych porządnie jednostek; inne dojdą do tego przynajmniej stopnia naukowego wykształcenia, do jakiego dochodzi znacznie większa część mężczyzn, owych wybranych istot, którym wolno być wszystkim, lub niekiedy i... niczem.

Kto nas upoważnił do zamykania przed bliźniemi skarbnicy wiedzy? Komu dozwolono ograniczyć dojrzałego człowieka w nabywaniu wiadomości z dziedziny wszechświata? Mamyż prawo powiedzieć: poza te granice wolno przejść tylko wybranym? Jeśli by Stwórca nazaczył podobną tamę, mielibyśmy na to dowód w ukształceniu anatomicznym; tymczasem w obu płciach znajdujemy jednakowo wykształcone organa w których się mieszczą tak zwane władze duszy i ciała, a różnica rodzajowa nie może być podstawą do przyjęcia wyższej lub niższej zdolności umysłowej.

Większy lub mniejszy rozwój władzy myślenia, w dobrze wykształconem indywiduum, zależy od mniej lub więcej starannego wychowania. Jak Spartanie wychowywali żołnierzy i tylko żołnierzy, tak każdy inny naród zdolnym jest u siebie wykształcić uczonych, rzemieślników, fabrykantów, lub... niedołęgów na ciele i umyśle.

W dziwny sposób pan N. pojmuje małżeństwo. Słusznie w niemię widzi jednolitą całość, z dwóch odrębnych części złożoną, źródło pomyślności narodu, bo podstawę rodziny; ale czy podobna utrzymywać, że mężczyzna i kobieta, bez połączenia się z sobą, nie stanowią doskonałej pełni idei człowieka? Przeciwnie, idea ta w pojedynczem indywiduum jest nienaruszoną, inaczej społeczeństwo nie mogłoby uważać za jednostki niezamężnych kobiet, ani bezżennych mężczyzn, temu zaś sprzeciwiają się anatomia, fizjologia, antropologia i wszystkie przyrodnicze nauki. Podług nich człowiek przedstawia sam w sobie w pełni *ideę człowieka*, a małżeństwo stanowi tylko *ideę społeczeństwa, ideę związku*.

Dla poparcia mego dowodzenia, przytoczę przykład ze świata nieorganicznego, który nam łatwiej badać przychodzi, niżli zawiłą budowę zwierzęcia, a tem bardziej człowieka. Dla utworzenia soli kuchennej, potrzeba połączenia chloru z sodem; z połączenia tego wynika typ, idea związków pierwszorzędnych; lecz czyżli ten sam chlór lub sod nie są doskonałym typem, ideą ciała pojedynczego, gdy je w odosobnieniu od siebie badamy? *Dualizm* o którym wspominam, napotykanym w świecie nieorganicznym, znajdujemy również w organizmie żyjącym; co więcej, prawa jego utrzymują się tam aż do najdrobniejszych szczegółów.

Czy kobieta ma być prawnikiem, lekarzem, jednym słowem specjalistą? to rzecz inna zupełnie. Czynności te pozostawiono mężczyznom, którzy w swem życiu organicznem nie doznają podobnych jak kobiety przerw w spełnianiu czynności zawodu publicznego; ale jak z jednej strony nie mamy potrzeby *rekrutować* specjalistek, bo człowiek, jako istota rozumna, ma prawo sam sobą kierować i obierać zawód według upodobania; tak znowu z drugiej strony nie mamy dowodu na to, aby specjalistki szkodziły społeczeństwu. Czy kobieta ma być autorką, na to najlepiej odpowiedzieć słowa znanej w naszej literaturze niewiasty: „Nie godzi się stawiać pytania, czy kobieta może być, lub nie, pisarzem, poetą, myślicielem, jeżeli w tem zadaniu pojmiemy wyższe posłannictwo. Nie mówcie mi o tych autorkach, jak równie o tych autorach, co to w pisaniu szukają rozrywki po burzach żywota, lub chleba, w braku innego; nie jest to bowiem rzemiosło, ani wypełnienie żywota, naksztalt tej jałowej dewocyi, jaką niektórzy ludzie kończą żywot zbyt wesoły. Patrzcie oto na tę dziewicę zaledwie z dzieciństwa wyszłą, na którą ludzie powiedzieli: *dziewna*, a Bóg na jej duszy położył znamie: *wzniosta*. Jak ona szuka przedewszystkiem mądrości w księgach, a tęskni za myślą Bożą wypisaną w naturze, tej tajemniczkiej księdze Stworzyciela; i naraz nadmiar myśli i uczucia, rodzi w niemię potrzebę podzielenia się z drugimi. Błogo jej, jeżeli tylko pieśń rzewna wypłynie z jej przepelnionych piersi. Wielką bowiem jest słowa potęga, ona najszerszych sędziów upaja i zachwycą; „więc spłotą wieniec tkliwej poetce.“ Lecz jeżeli śmiała myśl sięga w umysłowe sfery, jeżeli nazwie starym nałogiem to, co przed nią niewzruszonym prawem nazywano, jeżeli krzepką dlonią zachwieje spróchniałe i z zapachu okrzykiem zgromi niezdołężniałe i nikczemne, — wtedy żywot jej ciernisty, a gdy się go nie ulęknie, gdy na zwaliskach osobistego szczęścia swego zasiądzie spokojna, cała zapatrzona w dolę ludzkości, o! wtedy uszanujcie ją!... to kapłanka — może nie domowego ogniska, jeżeli tego nie rozniecił obok niej godny jej mężczyzna, ale kapłanka

prawdy, na co namaścił ją Bóg, — więc nie urągajcie Mu się.“

Wyznać należy iż kobiety same nie dążą bynajmniej do osiągnięcia naukowego wykształcenia; owszem, śmiało twierdzić można że stawiają sobie tamy w nabywaniu wiedzy. Ale nie ich w tem wina, chociaż one same są aktorkami dramatu odgrywanego się na ich szkodę moralną. Owego nieszczęśliwego położenia, bo tak je z całą sumiennością nazwać można, stały się przyczyną skrzywione wyobrażenia; naukę zrobiono rodzajem przywileju, z którego korzystać tylko może męska połowa rodu ludzkiego. Ztąd wynikło że kobiety po większej części odbierają zaledwie elementarne, i to jeszcze bardzo szczupłe, wykształcenie umysłowe, nie umieją myśleć, a zatem radzić sobie nie potrafią; wiele z nich utrzymuje, że byle mieć dzieci i umieć w domu i w kuchni wszystko przyrzadzić, dość to by spełnić zadanie *matki i żony*. Tak pojmują swe stanowisko, a więc i małżeństwo, które nie za powołanie, wkładające na nie liczne a trudne do spełnienia obowiązki i odpowiedzialność, ale za *sposób utrzymania*, za rodzaj *proceduru* uważają. Starają się też umieć i zyskać to, cokolwiek pomaga do zdobycia ślubnego wianka, unikają zaś wszystkiego, coby go odwrócić lub oddalić mogło. Jakże się uczyć mają, kiedy im brzmi w uszach we śnie i na jawie: „a gdy mądra, strzeż się żenić.“ Lubo do mądrości dojść niełatwo, one, lękając się nawet jej cienia, skrzętnie usuwają wszystko, co na naukowość zakrawa. Przypatrzyć się owym wysnuowanym lalkom, zadowolonym że nie uczyniły takiego, za co by mądremi nazwać można. Śmiech doprawdy pomyśleć, że te niewinne laleczki przyjmują kiedyś na siebie godność i obowiązki matek, że zadaniem ich będzie wychować synów, mających podtrzymać byt narodu; ale to śmiech gorzki, bo często sprawdza się zdanie przez jednego z pedagogów naszych przy obecnej reorganizacji wychowania wyrzeczone, że: *dzieciuch, doszedłszy do klasy piątej, tak głęboko przekonany jest o małym ukształceniu naukowym swjej matki, że ani przypuści aby ona w rozumie mu sprostać mogła; ztąd bardzo logiczne następstwo, że rady matki lekceważy, a znowu matka często nie potrafi dać mu przestrogi jak ma postępować na drodze życia, a co gorsza, niekiedy mimowolnie podnieci miłość własną, nie powstrzyma na rozdrożu, a młodzieniec zato i ją i cały świat lekceważyć będzie.*

P. N.... porównywa kobietę z kwiatem, do którego zbliża się zwierze, nasyca się jego wonią, lecz dotknąć mu go niewolno. Oken, jako badacz-poeta, mógł użyć takiego porównania, ale w artykule rozumowanym nie ma ono żadnego znaczenia. Kwiat działa barwą i wonią, zachwycą więc zmysły, lecz tylko zmysły; jeżeli więc p. N.... uważa kobietę za przeznaczoną do działania na zmysły mężczyzny, to naturalnie że tu nie wykształcenie umysłowe, lecz sztucznie jej podniety na pierwszym staniu planie. Ale my radziłyśmy ją widzieć mniej podniecającą zmysły, a raczej zdolną pokrzepić ducha, zdołą zasilić zdrową myślą skolatany nieraz umysł mężczyzny; w takim tylko małżeństwie zajaśnieje w pełni idea społeczeństwa.

Autor przechodzi do politycznego i społecznego równouprawnienia kobiet z mężczyznami i popelnia ten sam błąd, co bardzo wielu rozumujących i piszących: łączy dwie odrębne kwestye w jedną całość; a choć i pod tym względem nie mogą się zgodzić z autorem, ani poprzestać na dowodach przezeń podanych, kwestyą tę jednak zostawiam na uboczu, bo chcę tylko mówić o zadaniu uczenia się kobiet, jako o sprawie bieżącej.

Założono szkołę główną w Warszawie, kiedy już istniejąca od lat pięciu akademja medyczna, mająca katedry obsadzone dobrymi profesorami, obudziła niemały zapal do nauki i ostrzegła nas iż czas jest przypomnieć Europie, że i my mieliśmy i mieć możemy uczonych. Szkoła główna zapala tego bynajmniej nie ostudziła: audytorya ciągle były przepelnione. Wtedy jedni utrzymywali że kobiety, jako kobiety, nie są zdolne do uczenia się, drudzy (między którymi znajduje się widać pan N.) powiadają że uczone kobiety szkodzą społeczeństwu; a nikt nie zadał sobie, ani rozwiązał pytania, które z nich możnaby przypuścić do słuchania uniwersyteckich wykładów? Mnie się zdaje że nie mając na to dowodu iż kobiety nie są zdolne do uczenia się, nie posiadając danych na poparcie twierdzenia, że uczone kobiety szkodzą społeczeństwu, możnaby pójść z zdaniem wydziału medycznego uniwersytetu kijowskiego i tym pozwolić słuchać uniwersyteckich wykładów, które okazałyby dostateczne naukowe wykształcenie. Nikt nie przeczy że podobnie ukształconych kobiet jest u nas bardzo mało; lecz mniemam że i mężczyzn takich nie mamy nazbyt wielu. Pensye żeńskie nie odpowiadają podobnemu wy-

(1) Mózg składa się z dwóch części: jedna jest koloru białego, druga szarego, i ta powleka pierwszą, stanowiąc jakby korę mózgu. Nadano jej z tą nazwę istoty korowej czyli szarej. U osób wysokiej inteligencji, dużo pracujących umysłowo, jest ona bardzo mocno rozwinięta; przeciwnie u idiotów, kretynów i w chorobach umysłowych, w okresie zniechęlenia władz umysłowych, znika w części, lub prawie w zupełności.

maganiu, ale i zakłady naukowe mężkie nieosobliwie dotąd sposobily do tego rodzaju studyów. Należaloby zatem zreformować pensye żeńskie; w jaki sposób? zostawiam to specjalnym pedagogom, mającym pod tym względem nierównie więcej odemnie nauki i doświadczenia. Nie mogę jednak przyznać słuszności zdaniu tych, co radzily utworzyć osobne wyższe zakłady żeńskie. Jeżeli tu idzie o wzgląd na tak zwaną dystrakcyę, jakaby mogła mieć ztąd młodzież męzka, (wzgląd trudny do usprawiedliwienia, kiedy się razem z kobietami modlimy i bawimy, a który upadłby sam przez się, skoroby wrażenie nowości przemienęło) jeszczebym go może przyjął za usprawiedliwienie, znając słabość natury ludzkiej; ale jeżeli tu idzie o podanie nauki kobietom w przystępnej formie, na to zgodzić się w żaden sposób nie mogę. Nauczyciel, ucząc dzieci, musi trafiać do przekonania każdego, zniżyć się do pojęcia, zdolności i wyobrażeń dziecka; profesor zaś nie uczy zasad, ale podaje całkowitą naukę, nie troszcząc się bynajmniej czy ma słuchaczy dostatecznie przygotowanych, matrykuła bowiem udzielaną być powinna tylko ludziom naukowo dojrzałym.

Uderzała mnie zawsze owa różnica wychowania kobiety i mężczyzny, a najbardziej upośledzenie pierwszej pod względem możliwości kształcenia się naukowego. Badając człowieka, szukałem podstawy do usprawiedliwienia tego ponizenia i... nie znalazłem jej; ztąd wnoszę iż monopol został przywłaszczony niestusnie. Dajcie mi dowody przeciwnie, usprawiedliwiecie swe zdanie ściśle naukowo, a cofnę swój sąd i przystanę do waszego obozu.

Zygmunt Dobieszewski.

Z SUWAŁEK DO AUGUSTOWA.

przez

ALEKSANDRA O.....

(Dalszy ciąg.)

A była poprzeczna droga krzyżowa; kiedyśmy ją mijali, gospodarz mój pobożnie się przeżegnał, a zapytany dlaczego to czynił, odrzekł:

— Bo widzi pan, na rozstajnych drogach stoi zawsze anioł i diabeł. Anioł powiada: moja dusza jedzie, a diabeł powiada: moja. Jak kto rozstajenki minie, a nie przeżegna się, to anioł płacze nieboraczysko ze wstydu, a ładaśty raduje się. To owej człojek nigdy nie powinien dać otuchy złemu, coby nad aniołem nie miał góry.

We wsi Szezebra woznica mój zajęzda bez pytania przed karczmę.

— A co tu będzim robić?

— A trzeba dać szkapom ziępnąć ździebelko, proszę łaski pańskiej. Toć i koń, choć niemy, ale zawsze Boskie stworzenie. A bez urazy pańskiej, ja tu mam krzyżę i interesu, mam ja tu swoich. Pan da oko na konie, a ja zlatam na wies.

— Dobrze! dobrze! Ale może napijecie się wódki?

— Panie Boże zapłać panoju—ja już zaprzestał pić utrapienicy od parę lat.

— To wy wódkę nazywacie utrapienicą?

— Aże jak? owej każde utrapienie, na świecie od wódki pochodzi. A nazywają jeszcze wódkę obrazą Boską.

— Obrażą boską?

— Ehe! obrazą Boską. Bo to nie z czego, tylko z wódki wynika każda obraza Boska, każdy grzech i Sodom.

Po niejakiem czasie gospodarz udał się na wies, przekręciwszy czapkę rogatywkę na bakier, dzierząc lewą rękę w kieszeni kapoty, a prawicą piastując bicz i wywijając nim swobodnie, niby z niechęcia, po drodze, a nucąc z cicha jakąś wiejską piosenkę pod nosem.

Cóż miałem czynić? pozostałem w pokorze na wózku przy karczmie i pałac cygaro, przypatrywałem się ludowi wiejskiemu, wyglądającemu przez okna karczmy i gwarzącemu z kieliszkami w rękę przed nią na przybicie. I powtarzałem sobie w duszy: utrapienica! obraza Boska!...

Wtém jakiś niewielki człowieczek w szaraczkowej bekieszy, trzymając ręce w kieszeniach, zbliża się do mnie, kiwa głową po przyjacielsku i prawi:

— Dzień dobry panu! a zkadł do Pan Bóg prowadzi?

— Dzień dobry! z Suwałk.

— A daleko?

— Niedaleko, do Augustowa.

I świdrował mnie małemi szarami oczyma maleńki jegomość w szaraczkowej bekieszy. Po chwili znów mówił:

— Za interesami? Ja to znowu do Suwałk, do patrona, bo mam sprawę w trybunale.

— Przykra rzecz.

— Piel! piel! piel! mnie nie pierwszyna sprawa w sądzie. Żebym ja dlatego się frasował że mam sprawę, dawnobym już opuchł jak góra, panie dobrodzieju. Rekomenduję się panu: jestem ekonomem u pana K. Dobry człowiek, panie dobrodzieju, ale podejrzliwy... ale nieufny... Przyszaj pan sam że to nieladnie z jego strony.

— Nie znam tego pana.

— Cha! cha! cha!—nie to pan w tej chwili myślał.

— A cóż tedy?

— Myślał pan sobie, patrząc na moję niepoczesną figurę, że gdybys był na miejscu tego pana, zupełnie tak samobys postępował.

— Roześmiałem się.

— Śmiejesz się pan, nie dziwo. Tyle o biednych ekonomach nagadano, napisano i w komedyach z dżemi bizunami ich nawystawiano, że ja na pana miejscu tak samobym utrzymywał.

Zacząłem uważniej przyglądać się małemu oryginalowi.

— W tej chwili pan znowu myślisz, że ja nie taki głupi jak się wydaję. A co? cha! cha! cha!

— Zkadł taki wiosok?

— Baaa! Ale dajmy temu pokój. Nie masz pan zbywającego cygara?

— I owszem, bardzo proszę.

— Pokornie dziękuję. A zato powiem panu jedną powiastkę o ekonomie.

— Będę bardzo wdzięczny.

— Otóż, kiedyś za Niemnem, był pewen potężny pan, nazwiskiem Żaba, czy inaczej, niech trupem padnę panie dobrodzieju, jeżeli wiem dobrze. Otóż ten pan, może i Mucha, bo są i panowie Muchy za Niemnem, był dziwak jakich mało. Może to był nawet Pac, bo i Pacowie panie dobrodzieju za Niemnem się legli. A miał to do siebie, że nie pardo- nował nikomu. Jak mu kto się nie spodobał, natychmiast kazał dać takie cięgi, że mu się prababka przyśniła. To też od jego dworu, jak od zarazy, wszyscy stronili. Wtém, patrzą, aż licho niesie jakiegoś księdza kwestarza przed ganek na kałamaszce. Mówią mu: zmykaj! bo będzie złe. Wola Boska, ksiądz odpowiada, i prosto rznie do jasnie pana. A jasnie pan siedzi jak bania przed kominkiem, brzuch grzeje i piwo ciągnie z gąsiora. Zdziwił się tedy niesłychanie, widząc wchodzącego kwestarza. Dalej tedy go brać w pytel. Ksiądz nie, trzyma się ostro, uszy do góry panie dobrodzieju. Jasny pan pokręca węża, kaze mu siadać i tak przemawia nakoniec:

— Widzę żeś graczy i zapewne wiesz dobrze co cię czeka, jeżeli mnie się nie spodobaś. Otóż jeżeli się spodobaś, to cię hojnie obdaruję; ale jeżeli nie, to pisuj na Berdyczew, ja nikomu nie pordonuję.

— Postaram się to wszystko uczynić, co będzie w mojej mocy, odpowiada ksiądz.

— No, to pamiętaj. A umiesz pisać wiersze księżę?

— W Boskiej mocy jest wszystko, panie dobrodzieju.

— No to weź węgiel z komina i pisz mi tu nad nim wiersze, ale pamiętaj żeby mi się spodobały.

Ksiądz nieborak, panie dobrodzieju, co tedy robiąc, bierze węgiel i goli na ścianie:

Kiedyś z panów pan,
Masz piwo, masz dzban,
To w wolnej godzinie
Pij piwo na zdrowie,
A pij co się zowie,
Siedząc przy kominie.

— No! to aż zanadto dobrze, jak na takiego człowieka, napisano, rzekł jasny pan, przeczytawszy te wiersze. Włos ci z głowy nie spadnie. Siadaj tu przy mnie i napij się także mego piwa; rozgość się u mnie, a jak zechcesz wyjechać, daj mi znać i powiedz też w świecie, że i ja ludzi umiem cenić, i że biję tylko durniów, bo durniów i w kościele biją.

Ksiądz tedy gości sobie u jasnego pana, a cały dwór się dziwi, co to takiego jest. Aż dowiadują się że to za napisanie owych wierszy jasny pan taki łaskaw na księdza. Ksiądz zaś dostał kwatery u ekonomy. Ekonom dowiedział się także o owych wierszach, a że był na nieszczęście swoje, panie dobrodzieju, amatorem piwa i wierszy, (bo niby to ekonom nie ma już duszy), tedy wziął i u siebie nad kominem te same wiersze węglem napisał, a zausznicy i pochlebni- cy, których w każdym dworze co niemiara, zaraz o tém donieśli. Jasnie pan wola księdza i powiada mu, panie dobrodzieju, że jeżeli on ekonomowi stosownie wierszami odpisze, to nie pożałuje tego. Ksiądz zaś, nie w ciemnię bity, nie myśląc długo, idzie do ekonomy, bierze węgiel i taką daje replikę na owe wiersze:

Co tam piszę, to dla pana,
A ty slugo bądź ostrożny,

By ciągłym chyleniem dzbana
Zasiek pana nie był próżny.

Jak we dworze dowiedziano się o tém, w śmiech z biednego ekonomy. Jasny pan także w śmiech. Ksiądz, korzystając z dobrego humoru, wspomina o wyjeździe, dostaje sowite dary na klasztor i z podziwieniem wszystkich pierwszy na sucho ze dworu wyjeżdża. A jasny pan ekonomowi karby na plecach kazał zaznaczyć i psami go wyszczyć ze dworu.

Otóż masz pan i ekonomską przypowiastkę. Każdy stan ma swoje przypowiastki, panie dobrodzieju, a jeżeli ja dziś jestem ekonomem, to nie moja wina, gdyż czuję że mógłbym być nietylko komornikiem, ale i częms lepszym. A tymczasem przepraszam za śmiałość i polecam się łaskawej pamięci pana dobrodzieja, i proszę mi wierzyć, że ja nauczyłem się tej przypowieści nie dla propocyi. Pamiętam, panie dobrodzieju, żeby zasiek pana nie był próżny, pamiętam, chociaż nachylać dzban także lubię, ale z rozumem, z rozumem, wszystko można, byle z rozumem. Jak to mówią żeby i wilk syty był i baran cały. Do nóg upadam! Z podziwieniem spoglądałem za odchodzącym człowiekiem w bekieszy, gdy ten nagle się zwrócił i z wyszukaną grzecznością przemówił:

— Nie mogę tego przenieść na siebie, panie dobrodzieju, żebym nie wyznał że cygara które pan palisz są paradne, ale mają jeden ważny feler....

— Niedosć suche?

— Przepraszam....

— Za suche i zbyt prędko się palą?

— Właśnie, właśnie to chciałem powiedzieć, alem szukał stosownego wyrażenia. Patrz pan tylko, wszak niedawno zapaliłem to cygaro.... a cóż? ma się już ku końcowi....

I człowiek w bekieszy buńczucznie wygiął się, dzierząc głowę odsadziło, patrząc gdzieś w przestrzeń i bijąc zlekka nogą w ziemię, jak jaki najpięrszej próby dandy, lub mąż który ważne dla ludzkości zrobił odkrycie i pewien jest że go laury nie miną.

— Ależ ten feler cygar moich nie jest jeszcze tak wielki.

— Tak... oczywiście, naturalnie, hm!

— I łatwo da się usunąć.

— To rzecz względna, panie dobrodzieju, łatwo, albo i nielawo....

— Zobaczymy zaraz. Oto niech pan będzie łaskaw przyjąc jeszcze parę sztuk tychże samych cygar, a jakoś ich nagrozi się ilością....

— Co? co takiego? jeszcze parę sztuk.... jakoś nagrozi się ilością? Ależ to powiedziano przepysznie, wytłumaczono przewybornie. Więc przyjmuję od pana jeszcze jedno cygaro.... ale na pamiątkę.... pod warunkiem że na pamiątkę....

— Ależ panie.... co za szczególna pamiątka!...

— I cóż w tem szczególnego? Mnie raz jedna poczciwa dusza dała sztukę płótna, a przez delikatność wyraził się że daje mi na pamiątkę. Ja też kazałem sobie natychmiast bieliznę uszyć z tego płótna, i pamiętam o tej poczciwej duszy i o tém płótnie.... i o tej bieliznie.... Prawde powiedziałwszy, nigdy w swém życiu bardziej nie potrzebowałem takiej pamiątki, bo pod względem bielizny, oprócz miejsca na nią w moim kuferku i przekonania o konieczności posiadania jej.... nie więcej nie miałem. Poczciwa duszo!... pamiętam, pamiętam o tobie.... chociaż to dawno już, bardzo dawno....

Tu człowieczek w bekieszy odwrócił się, wyjął kraciastą bawelnianą chustkę i przytknął ją do oczu. Milczałem, trzymając otworzoną cygarnicę w rękach, i przypomniał mi się ów franciszkanin, z którym humorysta Sterne zamienił tabakierkę.... i mały jegomość w bekieszy weale mi się śmieśnym już nie wydał.

Kiedyśmy się rozstawali, człowiek ten powiedział do mnie:

— Jeżeli pan bliższych zechcesz o mnie zasięgnąć wiadomości, to za pierwszą bytnością w Warszawie zapytaj pan o mnie mego rodzzonego brata, mieszkającego naprzeciw mlyna parowego, sędzię kryminalnego, emeryta. Cóż pan tak dziwnie na mnie patrzysz? Mój brat najprzód, jako sędzię i sędzię kryminalny, nieszczęśliwie w ogólności o ludziach trzyma, a powtóre jest to mój brat, a brat o bracie rzadko kiedy dobrze mówi.

— Szczególne też pan ma zdania.

— Nie tak bardzo i szczególne, jeżeli zechcesz pan przejąc się tą zasadą, że kto chce żeby o nim familia dobrze mówiła, niechaj nigdy od niej nie żąda pomocy. Mój ten brat ma jakie paręćroć gotówki, ale nie doczekał się jeszcze tego zaszczytu z méj strony, żeby go o złamany szeląg kiedy poprosił. To też on mnie kocha.... ale to jak kocha.... jak kocha!...

I to mówiąc, człowieczek w bekieszy przychylnie skinął mi głową i ręką od serca, na znak pożegna-

nia, krokiem pewnym a posuwistym oddalił się do swej bryczeczki o jednym koniku, siadł na nią, zaciął konia i ruszył w drogę, oglądając się ku mnie i kiwając głową tak przyjacielsko, jakbym z nim sto lat się znał i przestawał.

Kiedym rozmyślał o owym oryginalnym, nadszedł mój woźnica i usprawiedliwił się, że dlatego nie pośpieszał z powrotem, że widział mnie zajętego rozmową z panem okomonem, jak się wyrażał.

— To wy jego znacie?

— Jeszczeby nie! aże jak? Zna bo go wielki i mały....

— Cóż to za człowiek?

— Człojek to niczego, bo nawet i tego dobry, tylo to szkoda, co ma zajaczki w głowie.

— To znaczy niby że niebardzo mądry?

— No nie, proszę łaski pańskiej, już co do mądrości, to nawet za siła mądry.... i dlatego to i bieda co za mądry.

— Ale przynajmniej poczciwy?

— Albo może nie? bardzo podciwy!

— To go ludzie lubią?

— Jak człojek nie ma do niego być przytulny, kiedy on do człeka garnie się?

Uderzony prostaczem tém serdecznym wyrażeniem, w skutek dalszych dopytywań dowiedziałem się, że to była figura nader popularna i lubiona w swojej okolicy. Powszechnie go uważano za człowieka godnego lepszego losu.... uczciwego, a poniekąd zadziorego, pływacza, alias łgarza i chwalec... ale nieszkodliwego nikomu, oprócz sobie samemu.

Kiedysmy się zbliżali do miasta, mój woźnica zagadnął:

— A pan często bywa w Jagustowie?

— Bardzo rzadko.

— A pan był w Cimochowej kaplicy u cudownego pana Jezusa?

— Nie wiem nawet gdzie ta kaplica.

— A na prawo od naszego przyjazdu, tuż za miastem.

I dalej mi opowiadać o cudownym panu Jezusie, że był z drzewa, że w skutek woli nieba powoli w kamień się obraca i przyjdzie czas że zupełnie skamienieje—i t. d.

Powodowany ciekawością, po ukończeniu interesów w Augustowie, zająłem się kaplicą, i oto czegom się o niej dowiedział.

Na zachodnim krańcu miasta powiatowego Augustowa, znajduje się niewielka kapliczka drewniana, okolona wysmukłymi topolami i lichym ogrodzeniem. Wśród tego ubożuchnego przybytku, na ołtarzu, stoi pomalowany olejno posążek modrzewiowy, w czwartej części naturalnej wielkości, wyobrażający upadającego pod ciężarem krzyża Pana Jezusa. Miejsce to słynie z łask i przywiązane jest doń wspomnienie niepospolitego w swoim rodzaju człowieka, znanego w tych stronach pod mianem Cimocha.

Że zaś zasługi jakie ten człowiek położył, odnoszą się do tego miana, sądzę że nie zgrzeszę, tak samo go wspominając, lubo właściwe jego nazwisko było: *Tomasz Wasilewski*.

Z kąd był rodem? jakie losy i biedy zagnały go w okolice Augustowa, niewiadomo, bo nie lubił w ogólności wiele mówić, a tém mniej o sobie. Wszakże wygadał się po parę razy, że służył kiedyś wojskowo, za Augusta Sasa, jak utrzymywał. Miał to do siebie, że lubił przypatrywać się obrotom wojskowym, i twierdził że za jego czasów musztra nie odbywała się na głośną komendę, ale z oka: starszy stał przed frontem i bronią robił, a szeregowcy go naśladowali.

Późnego wieku domierzył Cimoch. W roku 1836 sam sobie liczył przeszło 150 lat; a chociaż przykłady podobnej lub przybliżonej letności przywodzą roczniki różnych ludów, przecież mógł się i przerać staruszek.... bo według urzędowych wiadomości, żył tylko lat sto szesnaście. Jakkolwiek i ten wiek Cimocha należy do rzadkich wyjątków, przecież zasługa jego na czém inném spoczywa.

Przed rokiem 1830 Cimoch służył w okolicach Augustowa jako zdolny, ochoczy i rzadkiej poczciwości robotnik, bo tylko taką skromną pozycją w społeczności zajmował. W wyborze wszakże zatrudnienia,

rzucił się pewnym upodobaniem. Otóż przedewszystkiem usługi swe domom Bożym i duchowienstwu lubił poświęcać.

Że wiek podeszły szuka wyniosłych stropów i uroczystej ciszy świątyni nad swoje skołatane głowy, kwoli ukojenia tęsknoty sieroctwa towarzyszącego starości, nie dziwo. Ale u Cimocha ta skłonność miała jeszcze charakter osobliwego w swoim rodzaju powołania, jak się następnie okaże.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

27 lutego.

Odpowiedź prezydenta Stanów zjednoczonych, p. Lincoln, zawiodła oczekiwania gabinetu tuileryjskiego. Dzienniki donoszą że prezydent stanowczo odrzucił propozycje pośrednictwa francuzkiego i z góry już przewidują cały szereg nieszczęść jaki spaść może na barki stanów północnych. Przedewszystkiem uznanie stanów południowych jako osobną rzeszpospolitą, uważają za rzecz nader prawdopodobną. Mimowoli nasuwa się tu także rozwiązanie kwestyi meksykańskiej, témbardziej że jak to już dawniej gloszono, połączenie Meksyku z południowemi stanami w jedną federacyjną rzeszpospolitą, stanowiąc miało zawsze główny cel polityki francuzkiej w tych odległych krajach. Odmowa prezydenta Lincolnna tém mniej stosowną się wydaje, gdy zewsząd najniepomyślniejsze wieści krążą o stanie armii północnej. Od czasu walnej klęski pod Fredericksburgiem, nierząd w Stanach zjednoczonych wzniósł się do najwyższego stopnia. Rozprężenie w armii, na kongresie, w pojedynczych stanach, do takich doszło rozmiarów, że wszelki szacunek należny osobie prezydenta bezpowrotnie straconym został, a jeden z członków senatu na posiedzeniu w d. 27 stycznia nie wahał się nazwać Lincolnna „ograniczonym.“ Niewiele także liczyć można na armię stojącą nad Rappehannockiem. Wszelkie usiłowania wyparcia separatystów z doliny Mississipi speżyły na niczem, a wiadomo że los unii od zajęcia tej doliny zależy. Jednym słowem, unia widocznie rozpadła się na części i nikt jęj już, zdaje się, od upadku ochronić nie zdoła. Tymczasem prezydent szykuje się do ataku miasta Charleston, i wkrótce sto dwadzieścia i pięć statków uda się do portu. W jednym tylko punkcie udało się północnym odnieść jaką korzyść nad separatystami, mianowicie pod portem Donelson w Tennessee, gdzie generał Rosenkrantz pobił swych południowych przeciwników.

Nota p. Odo Russell o rozmowie mianiej z ojcem św. i propozycyi schronienia się na wyspę Malte, wywołała dyplomatyczną korespondencją między Paryżem, Rzymem i Londynem. Książę Latour d'Auvergne zapytał kardynała Antonelli, czy prawdą jest że p. Odo Russell prowadził z dworem rzymskim negocjacje. Kardynał odpowiedział że agent angielski nie-dokładnie zrozumiał słowa papieżkie. Kardynał zobowiązał się powtórzyć to piśmiennie w depeszy do nuncjusza papieżkiego w Paryżu. W rzeczy samej, w d. 14 z. m. monsignor Chigi odebrał w tym duchu notę zredagowaną przez kardynała, z dodatkiem że odtąd stolica apostolska zrywa wszelkie stosunki z p. Odo Russell. Rząd francuzki zakomunikował tę depeszę gabinetowi londyńskiemu. Baron Gros oświadczył ministrom brytańskim, że rząd francuzki nie uważał tego zajścia za powód do nieporozumień, lecz spodziewa się że ministrowie znajdą sposobność sprostowania w parlamencie poprzednich swych oświadczeń.

Pogłoski o pojednaniu się p. Szmerlinga z Węgrami znowu ucichły. Dzienniki austriackie zapewniają, że wieść o rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich między Czarnogórą i Portą nie zasługują na wiarę, tém bardziej że w tymże samym czasie książę Mikołaj wysłał swoich pełnomocników do Konstantynopola, właśnie w celu załatwienia sporu o drogi wojskowe. Dzienniki dodają i to jeszcze, że w miejscach w których, według depeszy, Czarnogórcy zburzyć mieli dwa blokhauzy, takowych wcale nie było. Deputacja siedmiogrodzka nie uzyskała posłuchania i opuściła stolicę. Ost d Post zawiadamia, że zmniejszenie armii austriackiej jest rzeczą już postanowioną i bezzwłocznie wejdzie w wykonanie. Wszystkie pułki wracają na stopę pokojową.

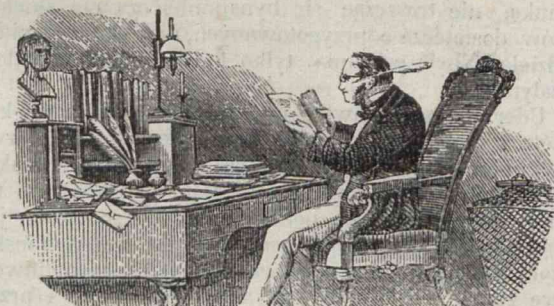
We Włoszech rozprawy nad budżetem i środkami zastąpienia deficytu, zwracają na siebie uwagę całego ogółu. Zdaje się że rząd zawrze pożyczkę siedmiuset milionów franków.

(*Jour. des Deb., Schles. Ztg., Patrie, Constit.*)

Ostatnie depesze. Londyn 23 lutego. Dzienniki wychodzące w Richmond przyznają, że rezultat bitwy pod Charleston nie był tak stanowczym, jak mniemano. 35,000 ludzi pod rozkazami Burnside przeszło z Suffolku do Wirginii. Krążą pogłoski o chęci zawarcia pokoju.

Wiedeń 24 lutego. Obiega wieść, że wkrótce ogłoszone będą ważne dekrety cesarskie w sprawie węgierskiej. Przewidują blizkie zwołanie sejmku w Peszcie.

Baden 23 lutego. Minister spraw zagranicznych, p. Roggenbach, zaproponował wielkiemu księciu badenijskiemu formalne uznanie królestwa włoskiego i zawiązanie stosunków dyplomatycznych.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materjału do kroniki tygodniowej. Materjałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarogodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Panu Wł. D. w Krzywonosi. Myśl co do tablic napisowych dla Sarbiewskiego i Krasickiego zachowujemy w pamięci i podniesiemy ją w czasie sposobniejszym. Komunikacja z prowincją Pruss zachodnich jest wprawdzie teraz znacznie ułatwioną; na umyśle jednak wysyłanie artystów w celu zdejmowania rysunków, środki materyalne naszego pisma dotychczas nie pozwalają; projekta przeto co do Torunia, Chełmna i Gniezna na później odłożymy. Co do s. p. T. z B. B. zgodzić się z Panem nie możemy: była to rzeczywicie popularność, ale popularność najpowszedniejszej miernoty. Wierszowaną ekscytacją doręczyliśmy swojemu kronikarzowi tygodniowemu.

Panu J. Z. z pod Kalisza. Nie wiemy do czego i do kogo odnoszą się nadesłane uwagi, których zresztą słuszności bynajmniej nie zaprzeczamy. Co do nas, nigdy przeciw żadnej war twie społecznej nie rzucaliśmy wyłącznie słów potępienia. Można chłostą ostrzej nawet przygany siec wady i śmieśności wyjątkowych jednostek; ale czynić za nie odpowiedzialnym ogół pewnej klasy, w każdym razie byłoby niestosownym. Prosimy wytłumaczyć nam znaczenie otrzymanego listu.

Panu V. Q. w Warszawie. Pisane bez natchnienia „Natchnienie“ natchnęło nas przekonaniem, że lepiej i właściwiej niejednemu skruszyć pióro, jak kruszyć kopie w nieprzystępnych dla błędnego rycerza szrankach poetyckich.

Panu R. B. w N. Przedmiot nadesłanej pracy sympatyczny, a wykonanie wcale nie tak słabe, jak je ocenia skromność autorki. Tylko że takich wieści cichych, dobroczynnych a bogobojnych we wszystkich stanach mamy mnóstwo; wyniesienie więc jednej, i to pochodzącej z najwyższej sfery społecznej, na piedestał publicznego uznania, mogłoby być poczytanem za tendencyjne. O opisy miejscowości wołyńskich, o ileby do nich dołączyć się dały wiernie wykonane rysunki lub fotografie, uprzejmie prosimy.

Panu M. Z. z Grodna. Krótki życiorys i fotografia s. p. starosty czerwonogrodzkiego otrzymaliśmy; użytku z nich jednak zrobić nie możemy.

Panu J. P. w Żytomierzu. Z dwóch nadesłanych rysunków jeden, przedstawiający skałę Czackiego, zostanie użyty; drugi zbyt mało ma odrębnego charakteru. Za materyały takie wysokiego wynagrodzenia przeznaczyć nie możemy; umówimy się jednak o nie w czasie późniejszym. Prosimy tylko aby rysunki na przyszłość były wydatniejsze i mniejszych rozmiarów.

Panu E. K. w Poznaniu. List i artykuł odebrane. Czekaemy z niecierpliwością dokończenia. Numera żądane Tygodnika wyprawiamy.

Panu W. G. w Sz. Rozwiązanie zadania szachowego Nr 142 jest mylne, bo w 2ém posunięciu czarne szachowac mogą królową z D 7 na D 4, zmuszając tém przeciwnika do zamiany królowej, a wtedy białe przegrywają partya. Dobre rozwiązanie zamieszczone już było w Nrze 177 Tygodnika.

Panu F. L. Podlasiakowi. Przysłowie drukowanym być nie może. Wierszyk wręczyliśmy redaktorowi Kmiołka.

Onegdaj wyszedł Nr 2gi *Wędrowca* i zawiera: Wycieczkę Olivier'a Merson do Portugalii (z pięcioma drzeworytami); Przegląd literatury zagranicznej: Salambo, powieść Gustawa Flaubert; Poczta powietrzna w Londynie (z dwoma drzeworytami, Rozmaitości: Gniazda ptasie jadalne (z drzeworytem) Babirusa (z drzeworytem).